

DZIEJE
ŁÓDZKICH
Kobiet

KRONIKA MIASTA ŁÓDZI

Nr 3 (91)/2021



JOANNA WOŚ, ŚPIEWACZKA
FOT. JAROSŁAW KRUK, WIKIPEDIA

KRONIKA MIASTA ŁODZI

DZIEJE ŁÓDZKICH KOBIEC



Wydawca:
Urząd Miasta Łodzi

Redaktor naczelny:
Mariusz Goss

Redakcja:
Dorota Ceran
Arkadiusz Grzegorzczak

Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 104
90-430, tel. (42) 638-40-10
e-mail: d.ceran@uml.lodz.pl

Projekt okładki:
Dorota Ceran
(fot. Eunice Stahl/Motionleap, domena publiczna)

Layout:
Marek Sitkiewicz

Skład i projekt numeru:
Aleksandra Bartosik
Visuall s.c.

Druk:
ZP SINDRUK

ISSN 1231-5354

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

W tekstach przeznaczonych do publikacji zastrzegamy sobie prawo do zmian i skrótów.

Kronika miasta Łodzi jest pismem bezpłatnym i nie jest przeznaczona do sprzedaży.

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	7
KILKA WSPOMNIENÍ O MATYLDZIE Z SCHEIBLERÓW HERBSTOWEJ	11
NIE TYLKO WŁÓKNIARKI... czyli prekursorki łódzkiej nauki	27
ŁÓDZKIE MUZY MUZYKI	45
„KIEPURA PYSKIEM, A WAJSÓWNA DYSKIEM” Wielkie damy łódzkiego sportu	59
URSZULA CZARTORYSKA – PIERWSZA KRYTYCZKA FOTOGRAFII W POLSCE	75
ŁÓDZKA DROGA KOBIET DO MEDYCYN Y – KIEDY KROPLA RZECZYWIŚCIE DRAŻY(ŁA) SKAŁĘ	91
GDY ŁÓDŹ STAŁA SIĘ CAŁYM ŚWIATEM – HENRYKA FRENKEL (1880-1939)	105
KOBIETY W WALCIE O NIEPODLEGŁOŚĆ. ŁÓDŹ I REGION ŁÓDZKI	119
W OBIEKTYWIE ZENITA B, CZYLI MARSZ GŁODOWY ŁÓDZKICH WŁÓKNIAREK	133
ŁÓDZKA WŁÓKNIARKA – ZAWÓD GINĄCY	159
KOBIETY W ŁÓDZKIEJ POLITYCE	173

OD
REDAKCJI



Przez całe lata historię świata postrzegano głównie jako dzieje mężczyzn, którzy decydowali o losach państw i narodów jako politycy, uczeni, artyści... Kobiety były ich tłem, mniej lub bardziej wdzięcznym dodatkiem. Bluszczem, czego dowodzi tytuł dziewiętnastowiecznego pisma kobiecego - „Bluszcz” właśnie. Pismo ukazywało się w latach 1865 - 1939. Wprawdzie redaktorami naczelnymi były przez lata kobiety, ale założycielem był Michał Glücksberg, Jako żywo - mężczyzna.

Kobiety przez całe wieki były wykluczane z tych obszarów życia społecznego, które tradycyjnie uważano za typowo męskie. Panie, jeśli były wspomniane, to zazwyczaj odnotowywano ich role zgodnie ze stereotypami płciowymi - jako córki, matki, żony i kochanki.

Los kobiet niejako zatoczył koło na karuzeli dziejów. Albowiem w społecznościach zbieracko-łowieckich okresu paleolitu, czyli najstarszego i najdłuższego etapu w dziejach rozwoju społeczności ludzkiej, kobieta cieszyła się takimi samymi prawami, co mężczyzna i miała podobny zakres obowiązków. Zatem, pospółu zajmowano się zdobywaniem pożywienia zarówno na zasadzie zbieractwa, jak i udziału w polowaniach. Jak podają źródła - dopiero rewolucja neolityczna spowodowała ograniczenie roli kobiet i ugruntowanie się patriarchatu¹.

Łódź to miasto szczególnie ważne dla kobiecych dziejów. Bo wprawdzie neolityczny patriarchat przetrwał do naszego czwartorzędu, ale tu, na łódzkiej ziemi nie do końca się sprawdzał. Bo czymże byłoby nasze miasto bez stojących przy krosnach kobiet, bez tkaczek, snowaczek, dziewiarek? Czym byłoby bez żon fabrykantów? Tak, tak, bez Leonii Poznańskiej, bez Anny Scheibler, Matyldy Herbst zupełnie inaczej wyglądałyby losy ich sławnych, przedsiębiorczych mężów, którzy często rozpoczynali swoją finansową przygodę od zainwestowania żoninego posagu.

Wiceprezydent miasta Małgorzata Moskwa-Wodnicka mówi:

- To robotnice, matki, babcie sprawiały, że nasze miasto rozwijało się w tak niebywale bujny sposób, to nasze działaczki społeczne dbały o przyszłość i edukację młodzieży, a żołnierki, kobiety szpiedzy w czasie wojny walczyły

1. Agnieszka Krzemińska. Córy Artemidy, „Wiedza i Życie”. 2021 (7). POLITYKA Sp. z o.o. SKA. ISSN 0137-8929

o wolność naszego kraju, a przypominę to właśnie Łódź była obok Warszawy najważniejszym centrum wywiadu Armii Krajowej z Haliną Szwarz na czele².

Łódź to także kobiety nauki, jak choćby niezapomniana profesor Halina Evert-Kappesowa, zajmująca się przez lata historią Bizancjum. *Na tle pracowników Instytutu Historii* (Uniwersytetu Łódzkiego – przyp. red.) wyróżniała się znajomością języków obcych. Podczas wizyt gości zagranicznych reprezentowała Instytut i służyła jako tłumacz. Była niezwykle wymagająca zarówno wobec siebie, jak i otoczenia. Współpracownicy, którym przyszło pełnić rolę sekretarzy katedry/zakładu, wspominają ten okres jako trudne doświadczenie. Pani profesor niezwykle krytyczna, pryncypialna i cięta w słowie, nie tolerowała jakichkolwiek pomyłek. Kiedy przez krótki czas sprawowała funkcję wicedyrektora Instytutu, żądała czasochłonnych sprawozdań, w których wykładowcy mieli relacjonować postępy w pracy ze studentami³.

Nie niemożemy tu nie wspomnieć o kobietach w łódzkich mediach. Łódzkie dziennikarki prasowe (Renata Sas, Małgorzata Karbowski, Iwona Śledzińska-Katarasińska i cała rzesza pań, których nie wymieniamy jedynie z braku miejsca, ale którym nisko się kłaniamy), radiowe (Joanna Sikorzanka, Anna Groblińska, Agnieszka Wyderka... - ukłony), telewizyjne - począwszy od charyzmatycznej, niebywale kontrowersyjnej i do bólu profesjonalnej Henryki Rumowskiej, poprzez takie osobowości jak Helena Ochocka, Iwonna Łękawa-Kaczanowska, Magda Olczyk czy Magdalena Michalak z TVP Łódź aż po szefową TV TOYA – Barbarę Mrozińską-Badurę i całe rzesze reportażystek, prezenterek, publicystek, którym ślemy kolejną porcję ukłonów.

Łódzianki na boiskach, w bankach, w biurach, szkołach, szpitalach, galeriach sztuki, galeriach handlowych, za tramwajowymi sterami, w biznesie... Nie sposób wymienić wszystkich aktywności, zasług, pań...

Mając pełną świadomość, że nie zdołamy napisać o tych wszystkich, którym należy się nasza wdzięczność i szacunek, prezentujemy wybrane łódzianki jako pars pro toto, wierząc, że Czytelnik potraktuje ten numer Kroniki jako inspirację do kolejnych, własnych poszukiwań.

Redakcja

2. <https://uml.lodz.pl/aktualnosci/artykul/lodz-jest-dumna-kobieta-spacery-sladamizasluzonych-lodzianek-id35354/2020/7/2/>

3. Prof. Jolanta Kolbuszewska, (Współ)twórczyni polskiej powojennej bizantynistyki HALINA EVERT- KAPPEŚOWA (1898-1985)

KILKA WSPOMNIENI O MATYLDZIE Z SCHEIBLERÓW HERBSTOWEJ

Dorota Berbelska
Magdalena Michalska-Szałacka

Muzeum Pałacu Herbstów w Łodzi



MATYLDA HERBST
FOT. ZE ZBIORÓW PRYWATNYCH

„Żegnam Cię czcigodna i kochana Senjorko spółki. W pracy dla zakładów tych zestarzeliliśmy się obserwując przez kilka dziesiątek lat Twoją działalność. Pan Pastor już oświecił tę działalność zarówno w Łodzi jako też w Sopotach, a p. dr. Mogilnicki wypowiedział, jak my tę pracę Twoją rozumiemy w Łodzi. Ograniczę się przeto tylko do kilku słów pożegnania oraz wyrazu czci i hołdu dla Twego kryształowego charakteru, dla Twego bezprzykładnie dobrego serca i wielkiej miłości Twej dla bliźnich. Całe życie walczyłaś dla dobra i byłaś opiekunką i dobrodziejką nie tylko Twych najbliższych i całej rodziny, lecz także pracowników firmy i wszystkich biednych, nieszczęśliwych, stroskanych”⁴ -

to słowa pożegnania, które nad trumną Matyldy Herbstowej wygłosił w czerwcu 1939 roku Ludwik Radke⁵, zaufany urzędnik od wielu lat związany z zakładami Scheiblerów. Mówił o Matyldzie z wielką atencją. W podobnym tonie, podkreślającym zaangażowanie Matyldy Herbstowej w działalność społeczną i charytatywną, utrzymane są wspomnienia, które ukazały się w prasie łódzkiej i warszawskiej. „Kurier Warszawski” pisał: „Była to indywidualność niepospolita i niezwykle popularna, dzięki swej hojności, skromności i dbałości o potrzeby szerokich mas”⁶ i wtórował mu „Kurier Łódzki”: „Nigdy nie chciała szlachetna ofiarodawczyni być publicznie wymienianą, zawsze pozostawała w cieniu, nie chcąc przyjmować osobiście wdzięczności. Był to prawdziwie szlachetny rys Jej pełnego miłości i poświęcenia charakteru”⁷. Do najważniejszych rezultatów jej działalności zaliczano ufundowanie szpitala dziecięcego, który stanowił wzór dla podobnych placówek w Polsce, oraz utworzenie sanatorium dla dzieci w Sokolnikach, a także zakupienie radu „na potrzeby leczenia ubogich chorych”. Wspominano również o okazywaniu pomocy wiernym i kościołom wszystkich wyznań, ale także wspieranie działań jej matki Anny z Wernerów Scheiblerowej, która „na krótko przed wojną z własnych funduszy wybudowała wspaniały gmach ochrony dla dzieci pracowników, w którym 200 dzieci znalazło troskliwą opiekę i utrzymanie”. Ta działalność Herbstowej została dostrzeżona i uhonorowana także przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej, poprzez nadanie jej w 1938 roku złotego Krzyża Zasługi

4. Słowa pożegnania, wypowiedziane przez L. Radkego nad trumną śp. Matyldy Herbstowej w dniu 12 czerwca 1939 r. – maszynopis w posiadaniu autorki.

5. Matylda Herbst z d. Scheibler ur. 27 marca 1856 w Łodzi, zm. 8 czerwca 1939 w Sopocie.

6. „Kurier Warszawski”, 20 VI 1939.

7. „Kurier Łódzki”, 11 VI 1939.

„w uznaniu wielkich zasług [...] na polu społecznym i filantropijnym”⁸.

Gdy analizowaliśmy materiały zgromadzone podczas przygotowywania biografii rodziny „Herbstowie. Historia fabrykantów”⁹ wielokrotnie wracaliśmy do tej opinii o Matyldzie: „nigdy nie chciała szlachetną ofiarodawczyni być publicznie wymienianą, zawsze pozostawała w cieniu”. Skłoniła nas do nieco innego spojrzenia na tę postać. I na małżonków Herbstów.

Zanim przybliżymy jej działalność przypomnimy kilka faktów z biografii. Zofia Matylda urodzona w Łodzi 27 marca 1856 roku była najstarszą córką Karola Wilhelma Scheiblera i jego żony Anny z Wernerów. W 1875 roku, mając 19 lat, poślubiła Edwarda Herbstą. Kim był mąż Matyldy, zięć Anny i Karola Scheiblerów? August Maurycy Edward Herbst urodził się 21 października 1844 roku w Radomiu. Był synem kupca Gustawa Edwarda Herbsty¹⁰ przybyłego z Saksonii i Ludwika z domu van der Heyden. Edward zdobył wykształcenie kupieckie w warszawskiej Szkole Handlowej i około 1869 roku rozpoczął pracę w ogromnym przedsiębiorstwie swego przyszłego teścia Karola Wilhelma Scheiblera. Aż trudno uwierzyć, że po kilku latach od zatrudnienia młodego kupca z Warszawy wielki fabrykant, jeden z najzamożniejszych już wtedy przedstawicieli burżuazji przemysłowej, oddaje właśnie jemu rękę swojej najstarszej córki! Wydaje się nieprawdopodobne, by nie znał rodziny Herbstów. W dokumentach księgowych przedsiębiorstwa pojawiają się zapisy świadczące o kontaktach finansowych Scheiblera z domem bankowym Ring & Herbst z Warszawy, jeszcze przed pojawieniem się Edwarda w Łodzi¹¹. Wygląda na to, że małżeństwo z Matyldą - wbrew utrwalonej w Łodzi opinii - nie było dziełem przypadku! A po latach okazało się, że Edward Herbst w szczególny sposób przyczynił się do rozkwitu zakładów scheiblerowskich. Jego działalność, przede wszystkim na polu gospodarczym, była przedmiotem dociekań choćby przy okazji prac badawczych nad historią przedsiębiorstwa scheiblerowskiego. Znacznie trudniej odnaleźć dokumenty mówiące o działalności jego żony Matyldy. Nam udało się zgromadzić wiele materiałów podczas prac badawczych, których efektem jest wspomniana już książka „Herbstowie. Historia

8. „Kurjer Warszawski”, op. cit.

9. D. Berbelska, M. Michalska-Szałacka, Herbstowie. Historia fabrykantów, Łódź-Sopot 2019.

10. Gustaw Edward Herbst (1812-1848) – kupiec, właściciel prywatnego składu sukna w Radomiu. Więcej na: <https://psbprzedborz.pl/herbst-gustaw-edward/>.

11. APŁ, ZZW K. Scheiblera i L. Grohmana, sygn. 709.

fabrykantów”. Tutaj zaprezentujemy jedynie wybrane informacje o przedsięwzięciach uznawanych za niezmiernie ważne dla mieszkańców Łodzi oraz Sopotu. Warto bowiem podkreślić, że historia rodziny Herbstów, przedstawicieli elity finansowej, jest nierozzerwalnie związana właśnie z dziejami tych dwóch miast. Odegrali oni istotną rolę w życiu społecznym obu miejscowości, angażowali się w działalność publiczną i filantropijną. Ich historia obejmuje czasy od XIX stulecia, przez dwudziestolecie międzywojenne, po lata II wojny światowej.

Niewątpliwie pierwszoplanową inwestycją Herbstów była budowa szpitala dziecięcego im. Anny Marii w Łodzi. To przede wszystkim im zawdzięczali łodzianie powstanie tej placówki. Matylda i Edward Herbstowie byli głównymi fundatorami i wspierali szpital finansowo także w dwudziestolecu międzywojennym, gdy nie czynili już tak znaczących donacji na cele społeczne. Szpital dziecięcy im. Anny Marii w Łodzi wówczas należał już do Łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Spiritus movens budowy szpitala dla dzieci był dr Karol Jonscher, który zebrał na realizację owego zamy-



EDWARD HERBST
FOT. ZE ZBIORÓW PRYWATNYCH

słu 45 tysięcy rubli. Herbstowie dopomogli w materializacji przedsięwzięcia, przeznaczając na ten cel pokaźną sumę 200 tysięcy rubli. Wspaniałomyślnie wspierając budowę szpitala, rodzice urzeczywistnili ideę upamiętnienia córki Anny Marii, która zmarła w 1899 roku mając dziewięć i pół roku. Szpital miał nosić właśnie jej imię¹². Herbstowie mieli czworo dzieci: Karola, Leo, Edwarda i Annę Marię, która była ich najmłodszym dzieckiem. Niespodziewana śmierć tej „najukochańszej i jedynej córki” bez wątpienia stała się ogromną tragedią dla rodziny. Dziecko zostało pochowane na cmentarzu ewangelickim w Łodzi, w rodzinnym grobowcu – kaplicy Scheiblerów, obok swego dziadka Karola Wilhelma Scheiblera. Na łamach prasy państwo Herbstowie składali serdeczne podziękowania pastorom „za słowa pociechy w domu i na cmentarzu” oraz za udział w pogrzebie Towarzystwu Śpiewaków Kościelnych i licznie uczestniczącym w uroczystości przyjaciółom i znajomym.

Warto uzmysłowić sobie, że łódzki szpital, służący społeczeństwu do dziś, to najpiękniejszy pomnik czczący pamięć małej Anny Marii, dedykowany dzieciom, świadectwo altruizmu i szlachetności. Jak pisał w 1938 roku publicysta Stanisław Rachalewski, szpital Anny Marii był „pomnikiem humanitarne-go nastawienia i miłości bliźniego małżonków Herbst”. Szkoda, że dziś nie są wznoszone tego rodzaju pomniki.

W 1902 roku powołano komitet budowy szpitala dla dzieci, sporządzono plan i uzyskano pozwolenie na budowę. Szpital wzniesiono przy ulicy Rokicińskiej (dziś Aleja Piłsudskiego), na parcelach zakupionych przez Herbstów. Trzy lata później, 3 listopada 1905 roku, Szpital Anny Marii przyjął pierwszych małych pacjentów.

Jak pisał w roku 1930 dr Tadeusz Mogilnicki: „chore dziecko, powierzone naszej opiece jest i będzie zawsze pierwszą osobą w Szpitalu”¹³. Łódzka placówka była jednym z pierwszych samodzielnych szpitali pediatrycznych na ziemiach polskich, do tego budowanym z ogromnym rozmachem. Członkowie komitetu budowy – dr Karol Jonscher, dr Adolf Tochtermann i budowniczy Paweł Rübensham projektując szpital, korzystali z najlepszych rozwiązań stosowanych w takich placówkach dla dzieci w Europie Zachodniej. W efekcie

12. Dziś to Ośrodek Pediatryczny im. dr. J. Korczaka w Łodzi.

13. T. Mogilnicki, *25-lecie szpitala Anny Marii dla dzieci w Łodzi 1905-1930*, Łódź 1930, s. 1.

powstała wielka instytucja, bardzo nowoczesna i doskonale wyposażona.

W pierwszych latach funkcjonowania szpitala „honorowym Prezesem i Prezesową” zarządu, który administrował majątkiem ruchomym i nieruchomym szpitala, byli Matylda i Edward Herbstowie. Oni także systematycznie subsydowali funkcjonowanie szpitala: „w miarę rozwoju tej niezbędnej dla Łodzi instytucji chętnie pokrywali roczne niedobory, jak również nieśli jej wydatną pomoc w inny sposób”¹⁴. Dość powiedzieć, że w ciągu pięciu lat działalności placówki Herbstowie sfinansowali także „dobudowanie instytutu ortopedyczno-gimnastycznego, zakupienie aparatu Roentgena, zbudowanie dużej murowanej piwnicy, murowanego płotu przed szpitalem, [...] utworzenie przy szpitalu pracowni i biblioteki itp.”¹⁵. Trudno się zatem dziwić, że także po przekazaniu instytucji Łódzkiemu Chrześcijańskiemu Towarzystwu Dobroczynności państwo Herbstowie pozostali honorowymi prezesami zarządu. Początkowo małżonkowie zamierzali utworzyć autonomiczny szpital, jednak nie było to możliwe. Dlatego zdecydowali o podarowaniu Szpitala Anny Marii Towarzystwu, które mogło zapewnić dalsze funkcjonowanie instytucji, jedynej zapewniającej

Matylda Herbst, która do końca życia pozostała „honorową prezesową” szpitala Anny Marii, także po przekazaniu szpitala Towarzystwu Dobroczynności uczestniczyła w pracach tzw. Komitetu Damskiego mającego za zadanie pozyskiwanie dodatkowych środków na działalność szpitala, który niemal nieustająco borykał się z trudnościami finansowymi.

14. *Ibidem*, s. 13.

15. *Loc. cit.*

pomoc medyczną dzieciom. Możemy zrozumieć, jak było to ważne, gdy uświadomimy sobie, że wówczas Łódź miała najwyższy wskaźnik śmiertelności dzieci spośród wszystkich polskich miast.

Przekazanie szpitala nastąpiło na podstawie aktu notarialnego sporządzonego 29 maja 1911 roku. Darowizna obejmowała wszystkie nieruchomości oraz pełne wyposażenie łącznie ze sprzętem medycznym. Ponadto fundatorzy przekazali „100 000 rb na kapitał żelazny i 50 000 rb jako kapitał obrotowy na niezbędne wydatki”¹⁶. Zgodnie z zapisami w wyżej wymienionym akcie Herbstowie zastrzegli, że: „w tych obiektach na wieczne czasy mieścić się będzie szpital dla dzieci pod nazwą »Szpital Anny Marii dla dzieci«”.

Matylda Herbst, która do końca życia pozostała „honorową prezesową” szpitala Anny Marii, także po przekazaniu szpitala Towarzystwu Dobroczynności uczestniczyła w pracach tzw. Komitetu Damskiego mającego za zadanie pozyskiwanie dodatkowych środków na działalność szpitala, który niemal nieustająco borykał się z trudnościami finansowymi. Problemy te wynikały z faktu, że opłaty za leczenie dzieci wnoszone przez Magistrat i Kasę Chorych, będące głównym źródłem dochodów, nie pokrywały rzeczywistych kosztów hospitalizacji. Dlatego tak ważne było pozyskiwanie darowizn. W szpitalu i przychodni wszystkie dzieci, bez względu na status i wyznanie, pomoc medyczną otrzymywały bezpłatnie. Herbstowie zdając sobie sprawę z trudności finansowych szpitala próbowali zapewnić mu trwałe, bezpieczne funkcjonowanie także w przyszłości, poprzez zapis testamentowy. Legat nie został jednak przyjęty przez miasto¹⁷. Mimo to Matylda Herbstowa cały czas wspomagała finansowo inicjatywy szpitala, mające na celu jego unowocześnienie i rozszerzenie działalności. W 1938 roku otwarto nowy pawilon izolacyjny, na którego budowę magistrat przekazał 5000 zł, a najhojniejszą prywatną donatorką była właśnie Matylda Herbstowa, która wsparła ten cel kwotą 2500 zł. „Republika” donosiła wówczas, że: „Szpital Anny Marii jest największym szpitalem dla dzieci w Polsce. [...] w 7-miu województwach nie ma zupełnie szpitali dziecięcych i nawet tak wielkie miasta jak Gdynia, Chorzów, Częstochowa, Toruń itd. nie mają szpitali dla dzieci”. Natomiast Łódź nie tylko mogła poszczy-

16. Szóste sprawozdanie roczne z działalności szpitala Anny-Marii dla dzieci w Łodzi - 1911, oprac. Dr. W. Schoenaich, lekarz naczelny szpitala, Łódź 1912, s. 6.

17. Więcej t: D. Berbelska, M. Michalska-Szałacka, Herbstowie. Historia fabrykantów, s.66-67.

cić się wzorcowym szpitalem dla dzieci, ale również dziecięcym sanatorium w Sokolnikach pod Łodzią. Posiadłość w Sokolnikach należała do rodziny Herbstów od końca XIX wieku, było to miejsce wypoczynku, a w sokolnickich lasach Edward Herbst chętnie organizował polowania¹⁸. Na początku XX wieku z majątku wydzielono teren przeznaczony na letnisko „Letnie Kolonie Sokolniki Anny Marii” dokąd „Herbstowa posyłała biedne i słabowite dzieci na lato”. Letnisko utrzymywane przez Herbstów służyło dzieciom robotników z zakładów scheiblerowskich od 1905 do 1914 roku. Wraz z wybuchem I wojny zakończyło swoją działalność, lecz mimo to właściciele troszczyli się o właściwe utrzymanie budynków. Całością opiekował się stróż mieszkający w domu znajdującym się na terenie tej posesji. Brzmi to może nieco żartobliwie, ale państwo Herbstowie płacili pensję nie tylko stróżowi Ostrowskiemu lecz także ponosili koszty utrzymania psa. W 1928 roku Matylda zdecydowała o przekazaniu posiadłości szpitalowi Anny Marii, którego naczelnym lekarzem był wówczas dr Tadeusz Mogilnicki i to właśnie on został zobligowany do zorganizowania w Sokolnikach sanatorium.

Tyle tytułem dygresji. Wróćmy jednak do Matyldy Herbstowej i jej daru dla szpitala. W archiwum łódzkim odnalazliśmy dokument z 16 marca 1928 roku. To spisany przez notariusza Kazimierza Rossmanna akt darowizny, na podstawie którego należąca do Matyldy Herbstowej „nieruchomość wiejska w Sokolnikach, powiat łęczycki, stanowiąca prawie w całości przestrzeń leśną mającą nazwę hipoteczną »Letnia Kolonia Sokolniki Anny Marii« [...] mająca przestrzeni dwadzieścia dwie morgi 185 prętów” została zapisana Łódzkiemu Chrześcijańskiemu Towarzystwu Dobroczynności. Zapis obejmował nie tylko grunty, lecz także budynek główny mieszczący kilka sal, kaplicę i pokoje dla administracji, zabudowania gospodarcze oraz majątek ruchomy (w tym łóżka i pościel). Legat został obwarowany przez Matyldę Herbstową sześcioma klauzulami. Pierwszy, i niewątpliwie najważniejszy warunek, brzmiał następująco: „nieruchomość wspomnianą wraz z zabudowaniami i urządzeniami przenosi [Matylda Herbstowa] na własność Łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności, lecz [nieruchomość] będzie jak najściślej związana ze Szpitalem Anny Marii [...] i służyć będzie tak jak Szpital Anny Marii, dla celów leczenia

18. W dobrach Sokolniki należących do Edwarda Herbsty w styczniu 1892 roku odbyło się polowanie z udziałem 12 myśliwych: „padło pod strzałami polujących przemysłowców naszych 106 zajęcy, 22 bażanty i 2 lisy”. Zob.: „Dziennik Łódzki” 5 I 1892; por. A. Dobiech, Z historii łowiectwa na ziemi łódzkiej, Łódź 2014, s. 26-29.



HERBSTOWIE W SOPOCIE
FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM PAŁACU
HERBSTÓW

dzieci niezamożnej chrześcijańskiej ludności miasta Łodzi”. Donatorka zdecydowała, że dotychczas stosowaną nazwę „Letnia Kolonia Sokolniki Anny Marji” należy uzupełnić poprzez dopisanie „Oddział Szpitala Anny Marji”. I co równie ważne leczenie dzieci winno mieć „charakter filantropijny”. Herbstowa zastrzegła też, że w przypadku „ewentualnego wydzielenia Szpitala Anny Marji w odrębną jednostkę prawną”, nie podlegającą administracji Towarzystwa Dobroczynności także nieruchomości w Sokolnikach „podzieli los Szpitala Anny Marji, jako nierozdzielna część Szpitala tego”¹⁹. Obecnie posiadłość w Sokolnikach, подарowana przez Matyldę Herbstową łódzkim dzieciom i szpitalowi, nie jest już jego częścią.

Z pewnością intencja utrwalenia pamięci o Annie Marii towarzyszyła Herbstom także wtedy, gdy w początkach XX wieku decydowali o wsparciu wznoszonych wówczas katolickich kościołów w Łodzi. W łódzkiej katedrze dzięki ich donacji została wzniesiona empora (chór organowy) umieszczona nad głównym wejściem do świątyni. Do dziś można tam zobaczyć pamiątkowy napis: „Miłość rodziców dla cór-

ki Anny Marii Herbst wniosła ten chór”. W początkach XX wieku rozpoczęto także budowę katolickiego kościoła na Zarzewie, który otrzymał wezwanie św. Anny. Budynek został zaprojektowany przez Pawła Rübensham – tego samego, który zaprojektował także szpital Anny Marii w Łodzi. Kamień węgielny pod budowę kościoła został położony w maju 1904 roku. Do realizacji tego przedsięwzięcia w znacznym stopniu przyczynili się Matylda i Edward Herbstowie, którzy nie tylko przekazali na budowę kościoła 20 tysięcy rubli, ale także sfinansowali budowę wieży i zegara wieżowego, schodów na chór oraz wykonanie posadzki mozaikowej. Ufundowali również dzwony; czy nosiły imiona fundatorów i ich córek?

W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć, że Herbstowie byli wyznania ewangelicko-augsburskiego i mocno angażowali się w życie lokalnej społeczności. Znalazło to wyraz między innymi w tym, że wspierali budowę i wyposażanie świątyń ewangelickich. Dotyczy to między innymi poświęconego w 1884 roku kościoła św. Jana, będącego drugą świątynią ewangelicką w Łodzi. Jak informował „Dziennik Łódzki”: „przybył miastu naszemu, ubogiemu w piękne budowle, gmach wspaniały [...]. Obok rozlicznych kominów fabrycznych, obok mniej lub więcej bogatych pałaców – wzniosła się wieżyca kościelna, jak gdyby na świadectwo, że mieszkańcy przy staraniach o własne potrzeby, nie zapominają o tej wyższej sile, w której rękę wszystko spoczywa”. Gdy z początkiem XX wieku, ze względu na wciąż rosnącą liczbę wiernych, pojawiła się koncepcja budowy kolejnej świątyni ewangelickiej w południowej części Łodzi, znów w komitecie budowy znaleźli się zarówno Herbstowie, jak i Anna Scheibler, matka Matyldy. Kamień węgielny pod budowę świątyni położono w 1909 roku i wtedy też rozpoczęto budowę. Najpierw wzniesiono kaplicę św. Mateusza, ufundowaną właśnie przez Herbstów (dziś tzw. Mateusik). Poświęcenie kościoła św. Mateusza miało miejsce 1 listopada 1928 roku²⁰.

Przyglądając się aktywności Herbstów w Łodzi stwierdziłyśmy, że podobną działalność prowadzili w Sopocie. Od końca XIX stulecia rodzina Herbstów coraz częściej bywała w tym nadmorskim kurorcie, zwanym Riwierą Północy, a w 1891 roku Edward zdecydował o nabyciu posiadłości w centrum miasta. Edward i Matylda czuli się mocno związani z Sopotem. Z dnia na dzień co-

19. Więcej: D. Berbelska, M. Michalska-Szałacka, op.cit., s. 69-77.

20. Więcej: D. Berbelska, M. Michalska-Szałacka, op.cit., s. 57-59; K. Stefański, *Architektura sakralna Łodzi w okresie przemysłowego rozwoju miasta 1821-1914*, Łódź 1995.

raz lepiej odnajdywali w tym mieście swoje miejsce i budowali pozycję. Byli bardzo szanowaną rodziną. Edward zawsze był w Sopocie tytułowany „Excellenz von Herbst”²¹.

Małżonkowie aktywnie zaangażowali się w jedno z najważniejszych dla Sopotu przedsięwzięć, jakim było wzniesienie kościoła ewangelickiego. Rodzina Herbstów, która przekazała na budowę 3000 marek, znalazła się w gronie najhojniejszych donatorów. Budowę rozpoczęto w 1901 roku z inicjatywy gminy ewangelickiej według projektu architekta Ludwiga von Tiedemanna. Zgodnie z decyzją żony Wilhelma II, Augusty Victorii kościół otrzymał wezwanie Zbawiciela. Cesarzowa ufundowała także dwa okna witrażowe do prezbiterium kościoła. Każde z pozostałych sześciu okien miało innego fundatora, wśród których była również Matylda Herbstowa z „Łodzi – Sopotu”, jak to określono w pamiątkowym wydawnictwie z 1901 roku²². Nie była to jedyna donacja Herbstów na rzecz sopockiego kościoła. Małżonkowie ufundowali również trzy dzwony mające w wyjątkowy sposób czcić pamięć ich zmarłej w 1899 roku, córki Anny Marii. Dzwony noszące imiona Edward, Matylda i Anna Maria, zostały odlane z brązu w gdańskiej ludwisarni Jeana Collier’a. Umieszczone na nich sentencje zostały wybrane przez samych donatorów. 18 kwietnia 1901 roku odbyło się uroczyste wniesienie dzwonów na wieżę. Kilkanaście lat później, gdy ewangelicy sopoccy budowali swój kolejny kościół nazwany Kościołem Pokoju²³ Matylda i Edward, będący członkami tej wspólnoty, ufundowali organy, o czym do dziś przypomina umieszczony na nich napis: „Organy ufundowali Rzeczywisty Radca Stanu Pan Edward Herbst i Pani Matylda Herbst z domu Scheibler z okazji inauguracji kościoła. 5 października 1919”.

Należy tu odnotować, że Herbstowie wspierali także katolickich mieszkańców Sopotu. W 1902 roku ufundowali dzwony do katolickiego kościoła pw. Najświętszej Marii Panny „Gwiazdy Morza”, a w 1929 roku Matylda podarowała obraz do ołtarza umieszczonego w kaplicy dobudowanej do kościoła w 1925 roku według projektu sopockiego architekta Paula Puchmüllera.

21. Więcej na temat życia Herbstów w Sopocie: D. Berbelska, M. Michalska-Szałacka, op. cit. s.43-63, 117- 122.

22. *Die Erlöser-Kirche in Zoppot. Eine Erinnerungsschrift*, Zoppot 1901, s. 11, 24-26.

23. Kościół Pokoju został zbudowany w latach 1913-1919 wg projektu gdańskiego architekta Adolfa Bielefelda (1876-1930). Po II wojnie światowej, gdy kościół Zbawiciela został przejęty przez kościół katolicki (dziś pod wezwaniem Św. Jerzego, ul. T. Kościuszki) Kościół Pokoju otrzymał nazwę pierwszej ewangelickiej świątyni w Sopocie, kościół Zbawiciela (ul. Parkowa).

Jedną z ciekawszych inicjatyw Matyldy i Edwarda Herbstów była idea utworzenia fundacji na rzecz Łodzi i Sopotu. Informacje na ten temat znajdują się w odnalezionym przez nas testamencie Herbstów. Zawiera on nieznanne dotychczas informacje niezwykle ważne dla historii obu miast. Na jego poszukiwanie już od dawna poświęcałyśmy wiele czasu i starań. Wciąż jednak „umykał nam”, pojawiały się niespodziewane luki, braki w materiałach źródłowych, które przeglądałyśmy w archiwach Łodzi, Gdańska, Gdyni. Jak to niekiedy bywa, tak i tym razem pomógł łut szczęścia. Okazało się, że testament bezpiecznie spoczywał w archiwum w... Białymstoku. Gdy po raz pierwszy czytaliśmy zapisy testamentowe uderzyły nas, oczywiście poza precyzją zapisów, rozmach i szerokie horyzonty darczyńców.

W czerwcu 1921 roku, po śmierci męża Matylda musiała uporządkować sprawy majątkowe. Procedura została przeprowadzona w oparciu o testament, który małżonkowie spisali wspólnie w Sopocie w 1919 roku: „My małżonkowie: Radca stanu Edward von Herbst i Matylda von Herbst urodzona Scheibler, w Sopotach ulica Szkolna 29/33 zamieszkali, naznaczamy sobie wzajemnie jedynymi spadkobiercami. Pozostający z nas przy życiu ma mieć nieograniczone prawo rozporządzania całą obustronną spuścizną. Jako spadkobierców tego, co po śmierci ostatnio z nas żyjącego z obustronnej spuścizny pozostanie, naznaczamy w równych częściach dzieci nasze. Najbardziej zaskakującym i jednocześnie niezmiernie spektakularnym

Jedną z ciekawszych inicjatyw Matyldy i Edwarda Herbstów była idea utworzenia fundacji na rzecz Łodzi i Sopotu.

postanowieniem małżonków było ustanowienie fundacji imieniem Matyldy i Edwarda von Herbst, która miała powstać w Sopocie. Kapitał fundacji stanowić miała przekazana przez Herbstów kwota 300.000 marek, od której odsetki winny być wykorzystywane na bieżącą realizację celów fundacji. Wśród zadań powierzonych fundacji wskazano przydzielanie jednorazowych lub stałych stypendiów „dla utalentowanych i godnych kan-

dydatów obojgu płci na wykształcenie w zawodzie naukowym, technicznym, kupieckim, artystycznym lub rzemieślniczym”.

Znaczący legat został przeznaczony przez małżonków również dla miasta Łodzi, była to kwota pół miliona marek. Donatorzy zdecydowali, że powyższa suma będzie stanowiła kapitał, od którego tylko odsetki miały być przeznaczane naprzemiennie na trzy wskazane przez nich cele...

Herbstowie ściśle ustalili także zasady powoływania członków Rady Zarządu fundacji, którzy swą pracę na rzecz fundacji mieli wykonywać nieodpłatnie. „Jednakowoż zawsze w dniu 21

października, jako w dzień urodzin fundatora Edwarda

von Herbst a i w dniu 27 marca,

jako w dzień urodzin fundatorki Matyldy von Herbst, zarządcy winni ewentualnie, gdyby wtedy było posiedzenie rady zarządzającej zgromadzić się na ucztę, której kosztą ponosić będzie fundacja”.

Znaczący legat został przeznaczony przez małżonków również dla miasta Łodzi, była to kwota pół miliona marek. Donatorzy zdecydowali, że powyższa suma będzie stanowiła kapitał, od którego tylko odsetki miały być przeznaczane naprzemiennie na trzy wskazane przez nich cele: „a)

w jednym roku zarządowi szpitala Anny Marii w Łodzi na utrzymanie szpitala, b) w drugim roku winny być użyte do rozdziału między potrzebujących i godnych tego, uczniów ewangelickiego wyznania w Łodzi przez dyrektorów szkół, do których uczęszczają, c) w trzecim roku winny być użyte po połowie na utrzymanie budynków dwóch kościołów ewangelickich w Łodzi Ś-go Jana i Ś-go Mateusza”.

Wróćmy jeszcze do wątku donacji na rzecz Łodzi. Jakie były jej losy? Odpowiedź znalazłyśmy w prasie i sprawozdaniach z posiedzeń magistratu. 9 czerwca 1922 roku, na posiedzeniu łódzkiego Magistratu podjęto uchwałę o przyjęciu legatu na rzecz miasta po Edwardzie Herbście. Jednak rok później, po przeanalizowaniu sytuacji Magistrat wystąpił do Rady Miejskiej, aby ta zrzekła się spadku jako bezwartościowego. Uzasadniano, że „ze względu na to, że kwota marek niemieckich 349.305, jaka pozostała z zapisu ś.p. Edwarda Herbst a na rzecz miasta Łodzi kapitału 500 000 marek niemieckich, gdyż Władze Gdańskie potrąciły z tej sumy 150.695 mk. na opłatę podatku, obecnie z powodu katastrofalnego spadku tej waluty nie przedstawia żadnej wartości”. Ostatecznie, ze względu na szalejącą hiperinflację, Rada Miejska zrzekła się „uczynionego na rzecz miasta Łodzi przez ś. p. Edwarda Herbst a zapisu kwoty mk. niem. 500.000 jako nieprzedstawiającego obecnie żadnej wartości”²⁴.

Matylda von Herbst zmarła 8 czerwca 1939 roku, w swoim domu w Sopocie w wieku 83 lat. Uroczysty pogrzeb odbył się 12 czerwca. Zgodnie z tradycją dzień wcześniej, późnym popołudniem, trumnę przeniesiono z domu żałoby przy Mackensenallee 29/31 (dziś ulica Tadeusza Kościuszki; wcześniej Schulstrasse) do kościoła ewangelickiego. W księdze zgonów zanotowano, że dzwony będą biły siedem razy. W pogrzebie oprócz krewnych, przyjaciół, znajomych, władz i mieszkańców Sopotu, uczestniczyli między innymi przedstawiciele zarządu i urzędnicy łódzkich Zjednoczonych Zakładów K. Scheibler i L. Grohman wraz z prezesem zarządu dr. Feliksem Maciszewskim, a także dr Tadeusz Mogilnicki, dyrektor szpitala Anny Marii oraz inni członkowie zarządu szpitala, członkinie Komitetu Damskiego działającego przy tym szpitalu, a także przedstawiciele wielu innych instytucji i stowarzyszeń.

²⁴. Więcej: D. Berbelska, M. Michalska-Szałacka, op. cit, s. 65-67.

Matylda von Herbst spoczęła obok swego męża Edwarda na cmentarzu ewangelickim w Sopocie, w rodzinnym grobowcu wzniesionym na jej zlecenie w 1921 roku. Środki na ten cel zostały zaplanowane we wspólnym testamencie Matyldy i Edwarda. Zaprojektowanie budowli Herbstowa zleciła sopockiemu architektowi Heinrichowi Dunklowi. Projekty kaplicy są datowane na lipiec 1921 roku, a więc powstały w ciągu zaledwie miesiąca po śmierci Edwarda. Mauzoleum, choć niewielkie, było jedynym tak okazałym budynkiem na sopockim cmentarzu. Budynek kaplicy jest zachowany do dziś, jednak krypta została zdewastowana po II wojnie światowej, jak wiele innych tego typu miejsc. Zawirowania dziejowe...

NIE TYLKO WŁÓKNIARKI...

prof. Jolanta Kolbuszewska

Uniwersytet Łódzki

czyli prekursorki łódzkiej nauki



Łódź, reymontowska „ziemia obiecana”, miejsce narodzin i upadków fabrykanckich fortun, bardzo długo kojarzyła się tylko z włókiennictwem. Mówiono o niej jako miejscu ciężkiej pracy, robotniczego wyzysku, społecznych kontrastów etc. Do wybuchu II wojny światowej warstwa inteligencji w Łodzi była dość wąska, zaś podejmowane tu od lat. 60. XIX wieku próby utworzenia szkoły wyższej, nie przyniosły spodziewanego rezultatu.

Odzyskana niepodległość znacząco nie poprawiła sytuacji w mieście, które dodatkowo z powodu kryzysu gospodarczego podupadło. Stworzona w 1928 roku łódzka filia Wolnej Wszechnicy Polskiej również znacząco nie wpłynęła na zmianę robotniczego charakteru miasta. Łódź dostała jednak szansę w 1945 roku. Tuż po wojnie, w wyniku zniszczenia stolicy stała się administracyjnym centrum kraju. Poza urzędami, instytucjami publicznymi, kulturalnymi, redakcjami czasopism, utworzono tu także kilka szkół wyższych.

Jako pierwsze powstały Uniwersytet Łódzki i Politechnika Łódzka. Następnie - Państwowe Konserwatorium Muzyczne (od 1946 Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna), Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, Państwowa Wyższa Szkoła Nauk Administracyjnych, Studium Pedagogiczne, Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego (działała do 1950 r.) i filia Warszawskiej Wyższej Szkoły Handlowej (od 1949 Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, w 1950 przekształcona w Wyższą Szkołę Ekonomiczną a w 1961 włączona do UŁ jako Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny). W 1946 roku zainaugurowały również zajęcia Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna, zaś dwa lata później Wyższa Szkoła Filmowa. Tworzenie akademickich uczelni, w zdominowanym przez klasę robotniczą mieście, przedstawiano jako akt dziejowej sprawiedliwości, wyrównanie krzywd, symbol przemian wpisujących się w „projekt budowy nowej Polski”. Bez względu na to, jak uzasadniano tworzenie szkół wyższych, włókiennicza Łódź powoli zaczęła zmieniać swe oblicze. W tworzącym się środowisku akademickim, podobnie jak w łódzkim przemyśle, do głosu stopniowo zaczęły dochodzić kobiety.

Liczba studentek i wykładowczyń z każdym rokiem rosła. Niezniszczone w wyniku wojny miasto, oferujące akceptowalne warunki socjalne, przycią-

gało wybitne indywidualności. Kadre łódzkich uczelni tworzyli wykładowcy z uniwersytetów kresowych, warszawskich szkół wyższych oraz badacze rozpoczynający karierę. Wśród nich spory odsetek stanowiły kobiety (w latach 1945-89 na UŁ pracowało ich średnio nie mniej niż 20%). Na nowo tworzonych uczelniach naukowczynie były mile widziane m. in. z powodu konieczności zapewnienia istniejących wakatów. Konkurencja z bardziej utytułowanymi, o większym dorobku kolegami nie była tu tak silna, jak w Krakowie czy Poznaniu. Nie oznacza to jednak, iż do Łodzi trafiały jedynie badaczki stawiające pierwsze kroki w nauce. Na przykładzie wybranych naukowczyń, reprezentujących trzy różne uczelnie: Uniwersytet Łódzki, Politechnikę Łódzką i powstałą w 1950 roku (na drodze wyodrębnienia się z UŁ) Akademię Medyczną, pokażę prekursorstwo i osiągnięcia naukowe kobiet związanych z powojenną Łodzią.

Rozpaczę od przybliżenia sylwetki pierwszej w historii polskiej nauki, profesorki wyższej uczelni technicznej, stypendystki Marii Skłodowskiej-Curie, uczonej, która organizowała Wydział Chemii Politechniki Łódzkiej, **Alicji Dorabialskiej** (1897- 1975).

Przyszła naukowczyni urodziła się w 1897 roku w Sosnowcu, jej ojcem był Tomasz Dorabialski, urzędnik pocztowy. Matka Helena pracowała jako nauczycielka. Siostra Alicji została pianistką, kompozytorką, po wojnie profesorem Konserwatorium Warszawskiego. Dorabialska studiowała w czasach, gdy nauki ścisłe i przyrodnicze pozostawały silnym bastionem mężczyzn, którego skruszenie udało się zaledwie pojedynczym kobietom. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy był dość niski poziom nauczania matematyki i fizyki w gimnazjach humanistycznych, które najczęściej kończyły dziewczęta oraz obowiązujący na uczelniach politechnicznych w latach 20. i 30. XX w. *numerus clausus* (przyjmowano zaledwie 10% studentek). Zofia Jerzmanowska, druga z bohaterek tego tekstu, wspominała: „*władze uczelni stały na stanowisku, że kobieta inżynier, nie tak łatwo znajdzie pracę w przemyśle, nie należy zatem przygotowywać zbyt wielu absolwentek*”.

Alicja Dorabialska znalazła się wśród kobiet, którym udało się „przebić”. Początkowo studiowała na Wyższych Żeńskich Kursach w Moskwie. W niepodległej Polsce została asystentką Wojciecha Świątosławskiego w Zakładzie Chemii Fizycznej Politechniki Warszawskiej, jednocześnie kontynuując studia

na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego, które ukończyła w 1922 roku, uzyskując tytuł doktora.

Nasza bohaterka była członkinią zespołu żartobliwie nazywanego „Zakodem św. Wojciecha”, w którym dzięki osobowości kierownika i doskonale dobranym współpracownikom, panowała sprzyjająca pracy naukowej atmosfera. Pierwsze spotkanie Dorabialskiej i Świątosławskiego nie zapowiadało jednak wielu lat owocnej współpracy. Poznali się w Moskwie w 1916 roku; Dorabialska tak opisywała ich spotkanie: „*usłyszałam dobiegający z pokoju miły, męski głos, wypowiadający nie-miłe dla mnie słowa - Kobiety nie są zdolne do pracy naukowej. Umysł kobiety nie jest twórczy. Całą swą naturą kobieta jest związana z drobiazgami życia codziennego i to jej uniemożliwia oddanie się pracy naukowej (...). Podjęłam toczący się spór (...) rzuciłam gwałtowne słowa: - Jeszcze w życiu pana znajdzie się kobieta, która dowiedzie, że kobiety mogą pracować naukowo! W głowie mi się nie pojawiła myśl, że tą „kobietą zemsty” będę ja sama*”.

Okupację Dorabialska przeżyła w Warszawie, gdzie wykładała na tajnych kompletach. Po wyzwoleniu przyjęła propozycję rektora nowo tworzonej Politechniki Łódzkiej i zajęła się organizacją Wydziału Chemicznego. Przez 23 lata kierowała Katedrą Chemii Fizycznej PŁ, na emeryturę przeszła w 1968. Przez większą część życia pracowała w środowisku męskim. Mimo to wspierała studentki i była przez nie dobrze wspominana. Prowadziła też działania na rzecz równouprawnienia płci żeńskiej angażując się m. in. w prace na rzecz Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem. Uczona jest dziś jedną z bohaterek Łódzkiego Szlaku Kobiet. W mieście znajduje się poświęcona jej ulica (w dzielnicy Olechów), na Politechnice Łódzkiej zaś upamiętniająca ją tablica.



A. DORABIALSKA W OTOCZENIU STUDENTÓW POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ

W 1925 roku podczas wizyty Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie, Świętosławski zarekomendował Dorabialską jako kandydatkę do stypendium w paryskim laboratorium uczonej. Spotkanie z noblistką zrobiło na niej ogromne wrażenie: *„ze słodyczą, w sposób taki, jak gdybyśmy się znały od wieków, zaczyna mnie wypytywać, nad czym teraz pracuję, jakie zagadnienia mnie porywają, czy istotnie chciałabym przyjechać do niej na pracę badawczą w dziedzinie ciepła promieniowania radu. I z miejsca ustalamy, że przyjadę do Paryża już na najbliższy rok akademicki, a więc 1925/26”*. We Francji Alicja spędziła dwa semestry. Prowadziła też prace badawcze w Instytucie Radowym w 1931 i na Uniwersytecie Karola w Pradze. W 1928 habilitowała się na Politechnice Warszawskiej w dziedzinie chemii fizycznej. Seria publikacji prezentujących wyniki prowadzonych w Paryżu badań, rozstrzygnęła o wygraniu przez nią konkursu (ogłoszonego w 1932) na stanowisko profesora nadzwyczajnego i kierownika Katedry Chemii Fizycznej Politechniki Lwowskiej. Mimo wygranego konkursu, ostateczną decyzję o przekazaniu jej katedry odwlekano przez dwa lata. Nie obyło się bez protestów - niektórzy twierdzili, iż kobieta na takim stanowisku obniży powagę uczelni (!). Dodatkowo kandydatka miała

„niewłaściwe” poglądy polityczne (podpisała tzw. protest brzeski). Sprawa dotarła aż do marszałka Piłsudskiego, który ostatecznie poparł nominację. Oto jak w oparciu o relacje świadków, przedstawiła przebieg wydarzeń sama zainteresowana:

„Na jakimś przyjęciu w Belwederze ówczesny minister WRiOP Wacław Jędrzejewicz zwrócił się do marszałka. – Panie Marszałku! Mamy kłopot. Kandydatką na katedrę Chemii Fizycznej na Politechnice Lwowskiej jest kobieta. Alicja Dorabialska. – No to co? – huknął marszałek – Niech się baba pokaże! – Tak, ale jest jeszcze drugi szkopuł. Ona podpisała protest brzeski. – No to co? Ma baba charakter! – A więc pan Marszałek nie ma nic przeciwko temu, aby pan prezydent podpisał nominację? – Oczywiście!”

Na pierwszy wykład Dorabialskiej przybyły tłumy, nasza bohaterka szybko zdobyła też sympatię kolegów. We Lwowie kontynuowała badania nad promieniotwórczością metodą termochemiczną i radiometryczną. Jej Zakład rozwijał się tak dobrze, że zaczęli do niego przyjeżdżać stypendyści z Europy (np. Norwegii). Do wybuchu wojny pod kierunkiem Dorabialskiej powstało 19 prac dyplomowych i jedna doktorska. W 1938 roku uczelnia wystąpiła z wnioskiem o profesurę zwyczajną dla bohaterki. Wybuch wojny odsunął jednak w czasie rzeczony awans.

Okupację Dorabialska przeżyła w Warszawie, gdzie wykładała na tajnych kompletach. Po wyzwoleniu przyjęła propozycję rektora nowo tworzonej Politechniki Łódzkiej i zajęła się organizacją Wydziału Chemicznego. Przez 23 lata kierowała Katedrą Chemii Fizycznej PŁ, na emeryturę przeszła w 1968. Przez większą część życia pracowała w środowisku męskim. Mimo to wspierała studentki i była przez nie dobrze wspominana. Prowadziła też działania na rzecz równouprawnienia płci żeńskiej angażując się m. in. w prace na rzecz Stowarzyszenia Kobiół z Wyższym Wykształceniem. Uczona jest dziś jedną z bohaterek Łódzkiego Szlaku Kobiół. W mieście znajduje się poświęcona jej ulica (w dzielnicy Olechów), na Politechnice Łódzkiej zaś upamiętniająca ją tablica.

Drugą z łódzkich naukowiec, na którą pragnę zwrócić uwagę jest chemiczka i farmaceutka **Zofia Jerzmanowska** (1906-1999).



ZOFIA JERZMANOWSKA,
POŁOWA LAT 40. XX W.

Jerzmanowska przyszła na świat w 1906 roku w rodzinie farmaceutycznej. W 1929 ukończyła Wydział Chemii Politechniki Warszawskiej i podjęła studia uzupełniające na Wydziale Farmaceutycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Po dwóch latach zwróciła jej dyplomem, pracując jednocześnie na Politechnice jako asystentka Ludwika Szperla. Doktorat uzyskała w 1933 na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, następnie odbyła staż naukowy na Uniwersytecie Wiedeńskim. Habilitowała się na UJK w 1938. Pierwszym istotnym osiągnięciem naukowym bohaterki było wyodrębnienie z ziela dziurawca nowego flawonoidu. Związek ten zwany później hyperozydem, stał się przedmiotem badań fitochemików i farmakologów na całym świecie, ze względu na właściwości uszczelniania naczyń wieńcowych i działanie przeciwbólowe.

Podczas okupacji Jerzmanowska brała udział w tajnym nauczaniu, odtwarzała receptury leków, a także współpracowała z ruchem oporu. Przeżyła powstanie warszawskie i obóz pracy w Niemczech. Po wojnie na Uniwersytecie Łódzkim objęła kierownictwo Katedry Chemii Organicznej. Od podstaw organizowała warsztat naukowy; zdobywała apa-

ratwę, gromadziła literaturę etc. Opracowała też pionierski program nauczania w zakresie chemii organicznej, która nie była dotąd odrębnie wykładanym przedmiotem. Program ten obowiązywał na wszystkich wydziałach farmaceutycznych przez 20 lat. Wspominając powojenne warunki pracy i doświadczenia swego pokolenia, Jerzmanowska pisała:

„przyszło nam żyć w bardzo trudnym czasie, z możliwości jakiegokolwiek pracy twórczej i rozwijania kultury skreślone zostały i to w najwydajniejszym okresie życia, lata wojny i czarnej nocy okupacji, a potem następne 4 - 5 lat, poświęconych organizowaniu nauki, dydaktyki, pisania podręczników. Żyliśmy i działaliśmy w okresie, kiedy nie było prawie niczego prócz entuzjazmu do pracy. Po tych kilkunastu straconych latach, z często nadwyreżowanym zdrowiem, jako skutkiem przybywania w obozach i oflagach, niełatwo było mojemu pokoleniu sprostać wszystkim obowiązkom naukowym, zawodowym, społecznym i kulturalnym”.

Mimo trudności rozwijała jednak swe badania i pięła się po drabinie naukowej kariery, otrzymując tytuł profesora nadzwyczajnego (w 1947), a następnie zwyczajnego (w 1956). Była autorką ważnych opracowań, m. in.: *Analiza jakościowa związków organicznych* (1951), *Preparatyka organicznych związków chemicznych* (1953), *Substancje roślinne- metody wyodrębniania* (t. I-II, 1967–70).

Jerzmanowska rozstawiła imię Łódzkiej Akademii Medycznej goszcząc w wielu ośrodkach naukowych, m. in. w Austrii, Jugosławii, Czechosłowacji, Francji, Włoszech, Niemczech.



Z. JERZMANOWSKA ZE WSPÓŁPRACOWNIKAMI W PRACOWNI FITOCHEMICZNEJ, LATA 70. XX W.

Jerzmanowska zorganizowała w Łodzi pierwszy w kraju ośrodek badań flawonoidów. Pracownicy z innych uczelni odbywali u niej staże specjalistyczne z tego zakresu. Dużym osiągnięciem bohaterki było opracowanie syntezy nowego leku o działaniu znieczulającym i przeciwbólowym. Preparat noszący nazwę handlową Edan (obecnie nie jest już stosowany), był jednym z pierwszych polskich leków oryginalnych. W działaniu miał przewyższać nowokainę z powodu braku skutków ubocznych. Jerzmanowska rozślawiała imię Łódzkiej Akademii Medycznej goszcząc w wielu ośrodkach naukowych, m. in. w Austrii, Jugosławii, Czechosłowacji, Francji, Włoszech, Niemczech. Jej osiągnięcia naukowe były znane, zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami. Naukowni była również cenionym dydaktykiem i promotorem prac naukowych. Spod jej skrzydeł wyszło 20 doktorów, 7 habilitantów (spośród których 5 uzyskało tytuł profesorski).

Jerzmanowska pełniła też ważne funkcje we władzach Akademii Medycznej;

prodziekana Wydziału Farmaceutycznego (1958 – 1962), prorektora ds. nauki i ds. dydaktyki (1962 – 1969). W latach 60. była również członkiem Rady Głównej przy Ministrze Oświaty i Szkolnictwa. Uczestniczyła w pracach kilku komitetów i komisji Polskiej Akademii Nauk.

Trzecią wybraną przeze mnie bohaterką jest postać kontrowersyjna, do dziś wywołująca emocje, związana w latach 1945-58 z Uniwersyteciem Łódzkim, **Natalia Gąsiorowska-Grabowska** (1881-1964). Gąsiorowska była jedną z pierwszych kobiet legitymujących się doktoratem, habilitacją w dziedzinie historii i pierwszą historyczką, profesor zwyczajną. Dodatkowo należała do „heroicznego pokolenia” walczącego o prawo kobiet do uniwersyteckiej edukacji. W 1904 roku zabrała głos w dyskusji na temat kształcenia dziewcząt. W opublikowanym przez „Ogniwo” liście ubolewała, iż Polki nie garną się do nauki m. in. dlatego, iż: *„boją się przede wszystkim zmory „emancypacji”, „feminizmu”- przed tym broni się nawet w myśli każda z nich. Nie zdają sobie zupełnie sprawy z istoty tych prądów (...) poza tym działają pojęcia nabyte w domu i w szkole o obowiązkach żony, matki, gospodyni, obawa zmarnowania najpiękniejszych, najweselszych lat życia,*



NATALIA GĄSIOROWSKA-GRABOWSKA, LATA 50. XX W.

opóźnienia występu jako panny „na wydaniu”, wreszcie ryzyka w wyjściu za mąż”. Bohaterka przekonywała, iż studia dają możliwość kształcenia się pod okiem fachowców; „wyrwania ze szpon martwoty umysłowej i dyletantyzmu”. Spójrzmy na biografię owej rzeczniczki równego dostępu do edukacji bez względu na płeć.

„Gdy wróciłam w pierwszych dniach majowych z obozu berlińskiego do kraju, poczucie wolności, szerokich możliwości pracy przy powszechnym jej rozmachu twórczym, organizacyjnym, swobodzie jej wyboru, budziło entuzjizm, zapał do pracy, wyzwalało siły niemal ponad miarę ludzką. Znalazłam się w Łodzi, w robotniczym środowisku, centrum, wobec zniszczenia stolicy, życia kulturalnego”. – Natalia Gąsiorowska

Natalia Gąsiorowska urodziła się w 1881 roku w zubożałej rodzinie szlacheckiej. Miała sześćoro rodzeństwa. Już jako nastolatka starała się wspierać finansowo rodzinę, zarabiając udzielaniem korepetycji. Po ukończeniu pensji i zdaniu matury uczestniczyła w Kursach Pedagogicznych w Warszawie, następnie podjęła studia w Heidelbergu (1903-4) i Paryżu. W 1905 roku wróciła do Warszawy, a następnie w 1906 rozpoczęła studia na Uniwersytecie Lwowskim. Cztery lata później obroniła doktorat. W okresie międzywojnia wyjechała jeszcze na studia uzupełniające do Hamburga i Paryża. Habilitowała się w Wolnej Wszechnicy Polskiej w 1926 roku, gdzie została profesorem i objęła kierownictwo jednej z katedr. W 1933 uzyskała również *veniam legendi* na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie jako docent prywatny prowadziła seminarium z historii społeczno-gospodarczej.

W tym czasie reprezentowała Polskę na międzynarodowych zjazdach i kongresach naukowych; m. in. w Oslo w 1928 roku czy Zurychu (1938).

Badania naukowe nie były jedynym obszarem aktywności Gąsiorowskiej. Lewicowa wrażliwość pociągnęła za sobą społeczne zaangażowanie; wsparcie najuboższych. Historyczka pisała: *„Od wczesnych lat, widząc co się dzieje w moim otoczeniu, zrozumiałam, że nie wszystko jest w porządku w społeczeństwie. Umocniły mnie w tym przekonaniu wykłady Krzywickiego, a także długie rozmowy z dwiema niezapomnianymi przyjaciółkami”* (Marią Koszutką i Stefanią Sempołowską). Na początku XX stulecia, podczas studiów w Paryżu, Gąsiorowska została członkinią Spójni a następnie paryskiej sekcji PPS. W kraju kontynuowała aktywność w PPS- ie, od 1906 roku w PPS-Lewica. Za swą działalność była czterokrotnie aresztowana. W niepodległej Polsce nadal pracowała w placówkach oświaty robotniczej; m. in. na Kursach dla Analfabetów czy Uniwersytecie dla Wszystkich. Została również członkinią Komunistycznej Partii Polski (działała na rzecz więźniów politycznych). W PRL-u wstąpiła do PZPR. Przez całe życie wspierała również kobiecy ruch emancypacyjny.

Podczas II wojny światowej wykładała na tajnej WWP. W 1944 roku po upadku powstania warszawskiego została wywieziona do pracy przymusowej w Berlinie. Po wyzwoleniu związała się z Uniwersytetem Łódzkim. Wspominała: *„Gdy wróciłam w pierwszych dniach majowych z obozu berlińskiego do kraju, poczucie wolności, szerokich możliwości pracy przy powszechnym jej rozmachu twórczym, organizacyjnym, swobodzie jej wyboru, budziło entuzjizm, zapał do pracy, wyzwalało siły niemal ponad miarę ludzką. Znalazłam się w Łodzi, w robotniczym środowisku, centrum, wobec zniszczenia stolicy, życia kulturalnego”*.

W 1948 roku jako jedna z inicjatorek utworzenia Instytutu Historycznego UŁ, została jego pierwszym dyrektorem. Pełniła również funkcję kierownika katedry. W latach 1946-48 Gąsiorowska była także rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi. Na Uniwersytet Warszawski powróciła w 1952 roku, z UŁ była jednak związana do 1958.

W pracy naukowej koncentrowała się na dziejach społeczno-gospodarczych XIX i XX wieku. Wielką zasługą historyczki była popularyzacja tej problematyki.



N. GĄSIOROWSKA W OTOCZENIU STUDENTÓW PWSP, LATA 40. XX W.

W PRL-u podjęła badania nad dziejami struktur społecznych; głównie klasy robotniczej. Przedmiotem jej zainteresowań były również dzieje osadnictwa przemysłowego na ziemiach polskich (m. in. w okręgu łódzkim). Kierowała zespołowymi przedsięwzięciami naukowymi. Redagowała wydawnictwa zbiorowe, opracowywała i publikowała materiały źródłowe. Interesowały ją również problemy nauczania historii (przygotowywała podręczniki, poradniki dydaktyczne etc.).

W PRL-u Gąsiorowska była rzeczniczką, popularyzatorką i ambasadorką marksistowskiego modelu badań. Pracujący z nią na UŁ Bohdan Baranowski, tak pisał o jej roli w inicjowaniu przełomu metodologicznego, jaki dokonywał się w nauce historycznej lat 40.:

„N. Gąsiorowska z nadzwyczajną energią starała się zmusić pracowników IH do poznania zasad nowej metodologii. Organizowała różnego rodzaju szko-

lenia, zachęcała do prób nowego podejścia do wielu problemów metodologicznych. Będąc osobą nadzwyczaj arbitralną nie dopuszczała żadnych odmiennych od jej punktu widzenia, poglądów”.

Z racji postawy światopoglądowej oraz zaangażowania w powojenną „modernizację” polskiej historiografii, pozycja Gąsiorowskiej w nauce lat 40. i 50 XX wieku, była znacząca. Historyczka brała udział w pracach kilku komisji ministerialnych, była członkiem rad naukowych ważnych instytucji, redaktorką, bądź współredaktorką znaczących wydawnictw i czasopism. Członkinią towarzystw naukowych m. in. PAN, PTH (prezes w latach 1953-6). Dla władz partyjnych i naukowych była ważnym symbolem. Wprawdzie z racji wieku i rozlicznych obowiązków organizacyjnych jej aktywność badawcza nieco osłabła, postawa życiowa i światopogląd były jednak konsekwentne. W latach 50. historyczka była jednym z nielicznych profesorów, którzy legitymowali się przedwojenną habilitacją i wstąpili w szeregi PZPR. Władze hołubiły Gąsiorowską, uroczystości obchodzono jubileusze jej pracy naukowej (np. w roku 1956-50- lecie). Z okazji 80. rocznicy urodzin bohaterki, w imieniu KC PZPR gratulował jej Aleksander Zawadzki, listy i telegramy przesłali także m. in. Jakub Berman i Michalina Tatarkówna-Majkowska. Pogrzeb historyczki w 1964 roku miał charakter uroczystości państwowej. Spoczęła na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym.

... znalazłszy w Łodzi sprzyjające warunki pracy i naukowego rozwoju, bohaterki odwdzińczyły się miastu, rozstawiając jego imię w kraju i poza granicami; dowodząc, iż Łódź nie tylko fizyczną, ale i umysłową pracą kobiet, stoi.

Gąsiorowska przeszła daleką drogę od skromnej korepetytorki wspierającej rodzinne finanse, przez studentkę tajnych kursów, po absolwentkę Uniwersytetu Lwowskiego, docentkę Uniwersytetu Warszawskiego, profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej, wieńczącą karierę profesurą zwyczajną, kierownictwem katedr na Uniwersytecie Łódzkim i Warszawskim oraz rektorowaniem łódzkiej PWSP. Na szczególną pozycję, jaką cieszyła się w okresie PRL-u najistotniejszy wpływ miała jej postawa polityczna. Idealnie nadawała się na symbol zaangażowanego w budowę Polski Ludowej uczonego. Legitymizowała posunięcia władzy w sferze nauki, dodatkowo aktywnie i z wielką energią angażowała się w odbudowę i organizację warsztatu naukowego. Była władzy potrzebna. Z drugiej strony potrafiła wykorzystać swą pozycję wspierając lokalne inicjatywy, zdobywając fundusze dla badań nad regionem łódzkim, tworząc zespołowe projekty badawcze, rozbudowując stan osobowy Instytutu Historii UŁ (m. in. promując kobiety). Dziś jej nazwisko kojarzy się niektórym tylko ze „słusznie minionym systemem”, co zważywszy na biografię i dorobek Gąsiorowskiej w zakresie historii gospodarczej, wydaje się nieco krzywdzące.

Na zakończenie, warto zastanowić się, co łączyło bohaterki tego tekstu? Na pewno była to naukowa pasja, samozaparcie, silna motywacja do pracy owocująca istotnymi osiągnięciami w dyscyplinach, które reprezentowały. Wszystkie dzierżyły też palmę pierwszeństwa w zakresie piastowanych przez kobiety funkcji, stanowisk i posiadanych tytułów. Przecierały szlaki następczyniom, wspierały młode adeptki nauki. Ofiarnie odbudowywały warsztat i tworzyły instytucjonalne podwaliny powojennej nauki. W uznaniu dla zasług uczelnie upamiętniły ich imiona; wyróżniły honorowymi doktoratami. *Last but not least* znalazłszy w Łodzi sprzyjające warunki pracy i naukowego rozwoju, bohaterki odwdzińczyły się miastu, rozślawiając jego imię w kraju i poza granicami; dowodząc, iż Łódź nie tylko fizyczną, ale i umysłową pracą kobiet, stoi.

W ARTYKULE WYKORZYSTANO M. IN.:

- Akta personalne A. Dorabialskiej przechowywane w Archiwum Akt Nowych i Archiwum Politechniki Łódzkiej.
- Akta personalne N. Gąsiorowskiej-Grabowskiej przechowywane w Archiwum UŁ i Archiwum UW, AAN.
- Spuścizna N. Gąsiorowskiej-Grabowskiej, Archiwum PAN w Warszawie.
- Wspomnienia A. Dorabialskiej, *Jeszcze jedno życie*, Warszawa.
- Wspomnienia N. Gąsiorowskiej-Grabowskiej publikowane w „Życiu Szkoły Wyższej”.
- Wspomnienia Z. Jerzmanowskiej, *Autobiografia*, opublikowane w „Kwartalniku Historii Nauki i Techniki”.
- Wywiad O pracy i życiu wybitnej uczonej. Rozmowa z historykiem prof. dr Natalią Gąsiorowską-Grabowską, „Nasza Praca”, R. VIII, luty- marzec 1954, nr 2-2.

ORAZ TEKSTY: Hanisz K., *Szkoła polskiej farmacji. Uczeń i ich dzieła*. Prof. dr hab. Zofia Jerzmanowska (1906-1999), „Aptekarz Polski”; Chojnacka E., Piotrowski Z., Przybylski R., *Profesorowie Politechniki Łódzkiej 1945–2005*. Łódź, 2006; Baranowski B., *Polska nauka historyczna- problemy odbudowy*, „Kwartalnik Historyczny”, T. LXXXVI, 1979, z. 3.

FOTOGRAFIE pochodzą z akt osobowych, zbiorów uczelnianych bibliotek i kolekcji prywatnych.



DELFINA AMBROZIAK I TADEUSZ KOPACKI, ORFEUSZ W PIEKLE
FOT. DOMENA PUBLICZNA

ŁÓDZKIE MUZY MUZYKI

Aldona Danielewicz-Malinowska

Łódzkie Centrum Doskonalenia Nauczycieli i Kształcenia Praktycznego

Działalność kobiet w sferze kultury muzycznej znana jest od wieków, ale czy znana jest w Łodzi? Nie wszystkim. Przyjrzyjmy się więc tej aktywności.

Wzorem niech będą Muzy Apollina, których nie brakuje w dzisiejszej rzeczywistości. Rozpocznijmy od Klio - muzy historii. Historia muzyki lub, jak kto woli, muzykologia historyczna zajmująca się tematem z historycznego punktu widzenia, to dziedzina działalności wielu znakomitych przedstawicielek płci pięknej, wśród których możemy spotkać Muzy Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów, np.: Martę Szokę, która działalność naukową łączy z instrumentalistyką organową, Ewę Kowalską-Zając, dzięki której nieobca staje się nam problematyka awangardy i twórczości kompozytorskiej XX i XXI wieku, Beatę Stróżyńską, która specjalizuje się w muzyce instrumentalnej XVIII wieku, Magdalenę Grajter, która zajmuje się funkcjonowaniem słuchu muzycznego, Małgorzatę Grajter, która bada twórczość wokálną Beethovena, Izabelę Nahajowską, dzięki której metodyka kształcenia słuchu i psychologiczne aspekty słuchania muzyki stały się ważną dziedziną nauki.

Muzy Kaliope, z atrybutem rylca i tabliczki do pisania, w muzyce mogą być symbolem kompozytorek. I w tej dziedzinie możemy pochwalić się twórczością łódzianek. Zuzanna Niedzielak komponuje utwory na orkiestrę symfoniczną, zespoły kameralne i instrumenty solowe. W jej twórczości odnajdziemy utwory dla dzieci, w szczególności na harfę. W twórczości Olgi Hans odnajdziemy emancypację instrumentów drugoplanowych, inspiracje neoklasyczne, muzykę elektroniczną, delikatność awangardy oraz twórcze podejście do tradycyjnych form. Marta Śniady łączy muzykę z innymi dziedzinami sztuki, tworzy muzykę elektroniczną oraz klasyczną w indywidualnym stylu łączącym dźwięk z wielowarstwowym językiem odniesień i połączeń. Atrybut rylca i tabliczki do pisania możemy porównać też z batutą i partyturą. I w tej działalności możemy pochwalić się kobiecą ręką, Elżbieta Tomala-Nocuń, dyrygentka, chórmistrzyni, kierowniczka muzyczna Teatru Muzycznego w Łodzi; Anna Domańska, dyrygentka, chórmistrzyni, pedagożka promująca muzykę polską oraz prawykonania utworów kompozytorów polskiej muzyki współczesnej. Barbara Sobolczyk, polska dyrygentka, kierowniczka artystyczna Akademickiego Zespołu Muzyki Narodów Słowiańskich „Bałajki” oraz Orkiestry Smyczkowej Makroregionu Łódzkiego i Orkiestry Smyczkowej Zespołu Szkół Muzycznych

GRAŻYNA BACEWICZ
FOT. DOMENA PUBLICZNA





BARBARA OSTROWSKA, JADWIGA HRYNIEWIECKA,
KATARZYNA KORZENIOWSKA KILLO, HALINA PĘDZIWIATR KARBOWSKA,
GRAŻYNA BACEWICZ, MARIA SZKUDLAREK
FOT. DOMENA PUBLICZNA



BEATA CYWIŃSKA, ALEKSANDRA NAWĘ, ANNA WESOŁOWSKA FIRLEJ,
ELŻBIETA RÓŻYCKA PRZYBYŁAK, ANNA LISZEWSKA, BOGNA DULIŃSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

im. Stanisława Moniuszki w Łodzi. Nie sposób pominąć dyrygentek chórów szkolnych, młodzieżowych, kościelnych, jednorodnych, różnorodnych, amatorskich i profesjonalnych, które w codziennej działalności doskonałą wykonawstwo grupowe naszych dzieci, młodzieży i dorosłych. Wśród nich są panie Anna Kamerys, Agnieszka Najmałowska, Izabela Muszyńska, Liliana Krych, Agata Krwawnik, Wiesława Najgebauer, Justyna Przytułska, Magdalena Kościuszko, Aleksandra Ryłko-Sutowicz, Maria Hubluk-Kaszuba i wiele, wiele innych niewymienionych dyrygentek. Działalność naukowa, kompozytorska oraz dyrygencka nieobca kobiecej naturze wspierana jest działalnością wykonawczą Muz pieśni i gry.

Łódzkie Polihymnie, Erato czy Euterpe podziwiamy na estradach i scenach teatrów oraz filharmonii. Łódzką pianistkę reprezentują i sławią, Beata Cywińska, Aleksandra Nawe, Anna Wesołowska-Firlej, Elżbieta Różycka-Przybylak, Anna Liszewska, Bogna Dulińska oraz Dobrochna Jachowicz-Zakrzewska. Nie sposób zapomnieć o dwóch paniach reprezentujących Łódź podczas XI, XVII i XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie a są to - Monika Rosca i Zuzanna Pietrzak. Instrumentalistkę strunową rozsławiają skrzypaczka Izabela Ceglińska i Róża Wilczak-Płaziuk, altowiolistka Jolanta Kukuła-Kopczyńska, wiolonczelistka Agata Jarecka, klawesynistka Ewa Piasecka i organistka Irena Wiślicka-Cieślak.

Nie brakuje nam reprezentantek instrumentów dętych. Wśród nich możemy podziwiać: flecistkę Ewelinę Zawisłak i Katarzynę Przybylską, oboistkę Agatę Piotrowską-Bartoszek, fagocistkę Dorotę Ciegiełską i wcześniej wymienioną kompozytorkę, klarnecistkę Zuzannę Niedzielak.

Obok Muz instrumentalnych możemy zachwycić się Muzami wokalnymi. Sopranistki – Beata Zawadzka-Kłos, Joanna Woś, Dorota Wójcik, Bożena Wagner, Patrycja Krzeszowska-Kubit oraz Danuta Dudzińska-Wieczorek. Mezzosopran – Urszula Kryger, Jolanta Gzella, Agnieszka Makówka i Bernadetta Grabias. Obok współczesnych Muz wokalnych nie możemy zapomnieć o dawnych Muzach, które przez lata reprezentowały wokalistykę łódzką i dzięki którym możemy dzisiaj słuchać ich następczyń. Dziękujemy Delfinie Ambroziak, Teresie May-Czyżowskiej, Tatianie Mazurek, Elżbiecie Nizioł, Oldze Olginie, Jadwidze Pietraszkiewicz, Halinie Romanowskiej,

Krystynie Rorbach, Adeli Winiarskiej-Skrzyneckiej, Teresie Żylis-Gara.

Nie tylko wokalistyka klasyczna (operowa, operetkowa, musicalowa) jest reprezentowana w Łodzi, działający od 2014 roku Instytut Wokalistyki Estradowej jest pierwszą jednostką w Polsce pozwalającą młodym wokalistom doskonalić się w wybranych stylach muzycznych np. blues, soul, funk, jazz, rock, pop, piosenka aktorska.

Muzą zajmującą się działalnością muzyczną była Terpsychora, kochająca taniec i radująca się tańcem. Dzisiejsze łódzkie Terpsychory działają w kilku obszarach m.in. rytmiki, rytmiki w edukacji i profilaktyce zdrowia, choreografii, technikach tańca, somatyce i w tańcu nowoczesnym.

Pomysłodawczynią i kierowniczką Instytutu jest Renata Danel, wokalistka, kompozytorka, autorka tekstów, pedagożka.

Wspomaga ją w edukacji estradowej Sandra Jakubowiak, wokalistka, pedagożka, dyrygentka, autorka tekstów, kompozytorka i socjolog w jednej osobie oraz Monika Malec-Piotrowska, wokalistka, nauczycielka śpiewu. Koło Naukowe „Miłośników Popkultury” działające przy Instytucie Wokalistyki

Estradowej prowadzi Anna Kamalska, wokalistka, kompozytorka, autorka tekstów, poetka i pedagożka, była solistka zespołu „Brathanki”.

Kolejną Muzą zajmującą się działalnością muzyczną była Terpsychora, kochająca taniec i radująca się tańcem. Dzisiejsze łódzkie Terpsychory działają w kilku obszarach m.in. rytmiki, rytmiki w edukacji i profilaktyce zdrowia, choreografii, technikach tańca, somatyce i w tańcu nowoczesnym. Naczelną Terpsychorą jest Barbara Ostrowska, wspomagają ją w działaniach edu-



BEATA ZAWADZKA KŁOS, JOANNA WOŚ, DOROTA WÓJCIK, TERESA ŻYLIS GARA, DELFINA AMBROZIAK, TERESA MAY CZYŻOWSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA



IRENA WISEŁKA CIEŚLAR, KRYSZYNA PIETRANEK KULIS, ELŻBIETA ADAMIAK, MONIKA KRUSZYŃSKA, ANITA LIPNICKA, TATIANA OKUPNIK
FOT. DOMENA PUBLICZNA



MARTA SZOKA, EWA KOWALSKA ZAJĄC, BEATA STRÓŻYŃSKA,
MAGDALENA GRAJTER, MAŁGORZATA GRAJTER, IZABELA NAHAJOWSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA



ZUZANNA NIEDZIAŁEK, OLGA HANS, MARTA ŚNIADY,
ELŻBIETA TOMALA-NOCUŃ, ANNA DOMAŃSKA, BARBARA SOBOLECYK
FOT. DOMENA PUBLICZNA

kacyjnych, naukowych i artystycznych Elżbieta Aleksandrowicz, Ewa Wojtyga, Magdalena Wieczorek i Barbara Dominiak.

Taniec w Łodzi znajduje wiele możliwości rozwoju. W 1947 roku Jadwiga Hryniewiecka, tancerka, choreograf, baletmistrzyni i pedagogka założyła w Łodzi najstarszy w Polsce zespół folklorystyczny przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Szymona Harnama. Pierwszy skład liczył 13 tancerek. Kierownikiem organizacyjnym oraz kierownikiem świetlicy przemianowanej na Przyzakładowy Dom Kultury była Maria Szkudlarek. Obie panie wspierała Maria Walhman, która zajmowała się kierownictwem muzycznym. Do dziś działalnością Zespołu Harnama dowodzą kobiety.

W 1994 roku Maria Kryńska i Krzysztof Sitkowski założyli studio terapeutyczne dla dzieci i młodzieży z zespołem Dawna.

Kolejnym zespołem prowadzonym wspólnie przez kobiety jest Zespół Pieśni i Tańca

Dlaczego tak wiele kobiet zajmuje się działalnością naukową, szkolną, artystyczną? Ponad 90% kobiet to nauczycielki rytmiki w przedszkolach, muzyki w szkołach podstawowych, ponadpodstawowych. W kształceniu ponadpodstawowym jest nas około 60%. Kobieta - nauczycielka, wnosi w dom rodzinny i życie społeczne dar wrażliwości, intuicję, codzienną ofiarność i stałość bycia. Pracując zawodowo dostrzega wszystkie obszary sprawowanego stanowiska. Koreluje działania społeczne, wychowawcze, gospodarcze, kulturalne i artystyczne. Łączy rozum i uczucie, twórczość i odtwórczość, buduje różnorodność dróg edukacji artystycznej. Jest i trwa, była i będzie.

„Anilana”. Opiekę nad nim sprawuje Katarzyna Korzeniowska-Killo, pedagożka, nauczycielka i instruktorka tańca ludowego i współczesnego, wieloletnia tancerka Zespołu Pieśni i Tańca „Anilana”.

W 1984 roku Halina Pędziwiatr-Karbowska zakłada Zespół Artystyczny „Pędziwiatry” przeznaczony dla dzieci od czwartego roku życia do końca edukacji szkolnej. Zespół wykonuje układy taneczne w różnych technikach od modern, jazz,

Łódź, miasto Muz, miasto kobiet, tych znanych i nieznanych, tych pamiętanych i niepamiętanych. Artystek, wokalistek, nauczycielek, naukowczyń, instrumentalistek, publicystek, po prostu dziewczyn, którym dziękujemy za wszystko to, co zrobiły dla nas i dla muzyki.

hip-hop, freestyle, tańca współczesnego, tańca klasycznego, shod dance do fantasy show. Dodatkowo, członkowie zespołu mogą doskonalić się wokalnie oraz instrumentalnie w Zespole Muzyki Dawnej Fletów Prostych.

Kolejnym zespołem tanecznym prowadzonym przez panie jest Zespół Pieśni i Tańca „Łódź” działającym przy i pod opieką Centrum Kultury Młodych. Kierownictwo artystyczne, organizacyjne i choreograficzne prowadzą Beata Stelmach i Danuta Ciechańska. Działalność Akademickiego Zespołu Pieśni i Tańca Uniwersytetu Łódzkiego

„Kujon” koordynowana jest przez kierowniczkę artystyczną i choreografkę - Jolantę Dąbrowską.

Pora na Łódzkie Muzy Melete. Nie byłoby tak wielu sukcesów oraz adeptów sztuki muzycznej, artystycznej gdyby nie nauka w szkole. Codziennie, nieustrudzenie przez 365 dni w roku opiekę nad szkolnictwem artystycznym w Łodzi sprawują panie. I tak, na czele Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuty Bacewiczów stoi jej Magnificencja Rektor Akademii Muzycznej prof. dr hab. Elżbieta Aleksandrowicz. Ogólnokształcącą Szkołę Muzyczną I i II st. im. Henryka Wieniawskiego prowadzi Małgorzata Ircha, od 1 września 2021 roku pałeczkę przejmie Anna Dryniak-Szczechowicz. Zespół Szkół Muzycznych im. Stanisława Moniuszki prowadzi Małgorzata Bosek. Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia im. Aleksandra Tansmana kieruje Małgorzata Biernacka. Niepubliczną Szkołę Muzyczną I stopnia Stowarzyszenia Przyjaciół Szkół Katolickich prowadzi Izabela Wiechno. Ogólnokształcącą Szkołę Baletową im. Feliksa Parnella nadzorowana jest przez Magdalenę Sierakowską oraz Aleksandrę Stanisławską. Niepubliczną Szkołę Baletową, Szkołę Sztuki Tańca założyła i prowadzi Elżbieta Wiśniewska. Przypadek? Nie tym razem. Również doradztwo metodyczne dla nauczycieli muzyki było i jest w rękach kobiet. W przeszłości metodyczkami były, Janina Golańska, Halina Kowalczyk, Dorota Antos, od 2007 roku funkcję tę dzierży moja skromna osoba. Sekretarzem Naukowym Okręgu Łódzkiego Olimpiady Artystycznej z Historii Muzyki jest Maja Skoblewska.

Dlaczego tak wiele kobiet zajmuje się działalnością naukową, szkolną, artystyczną? Ponad 90% kobiet to nauczycielki rytmiki w przedszkolach, muzyki w szkołach podstawowych, ponadpodstawowych. W kształceniu ponadpodstawowym jest nas około 60%. Kobieta - nauczycielka, wnosi w dom rodzinny i życie społeczne dar wrażliwości, intuicję, codzienną ofiarność i stałość bycia. Pracując zawodowo dostrzega wszystkie obszary sprawowanego stanowiska. Koreluje działania społeczne, wychowawcze, gospodarcze, kulturalne i artystyczne. Łączy rozum i uczucie, twórczość i odtwórczość, buduje różnorodność dróg edukacji artystycznej. Jest i trwa, była i będzie.

Każdy meloman muzyki klasycznej wie, kim była Grażyna Bacewicz. Łodzianka, skrzypaczka kompozytorka, pisarka. Jedna z niewielu kompozy-

torek w Polsce jak i na świecie. Każdy miłośnik muzyki rozrywkowej zna zespół muzyczny „Blue Cafe”. Rozpoznaje głos pierwszej wokalistki Tatiany Okupnik oraz jej następczyni Dominiki Gawędy. Znamy i rozpoznajemy wokalistki kolejnego łódzkiego zespołu muzycznego „Varius Manx” - Anitę Lipnicką, Kasię Stankiewicz, Monikę Kuszyńską, Annę Józefinę Lubieniecką oraz Edytę Kuczyńską. Kobiety w muzyce klasycznej i rozrywkowej, Muzy Muzyki, codziennie zajmujące się rozwojem kultury muzycznej w Łodzi.

Wspominamy wykonawczynie muzyki rozrywkowej, odtwarzamy niezapomniane melodie.

Zawsze będziemy podziwiać głos Muzy Aojde, czyli Elżbiety Adamiak, piosenkarki, gitarzystki, kompozytorki poezji śpiewanej.

Nie zapomnimy o łódzkiej kompozytorce, autorce tekstów i artystce kabaretowej - Danieli Zabłockiej.

Wspominamy Małgorzatę Zwierzchowską, piosenkarkę i flecistkę, wykonawczynię utworów do tekstów Andrzeja Waligórskiego i Artura Andrusa w duecie z Aleksandrem Grotowskim oraz niezapomnianą z wykonań wokalnych i ról filmowych Jadwigę Strzelecką.

Wśród najpopularniejszych wykonawców oraz zespołów muzycznych nie brakuje kobiet. Dzisiaj słuchamy i podziwiamy dokonania wokalistki Edyty Kuczyńskiej, znanej jako Edi Ann. Popowej piosenkarki i autorki Lzy Lach. Zaskakuje nas Lilu (Aleksandra Agacik) rapperka, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka oraz skrzypaczka muzyki z pogranicza hip-hopu, funki, soul i R&B oraz wiele innych wokalistek solowych lub członkiń zespołów muzycznych np. „Audio Dealers”, „Mięta”, czy wspomniane „Varius Manx” i „Blue Cafe”.

Bardzo ważną działalnością dla środowiska muzycznego jest twórczość Izabelli Klebańskiej, autorki scenariuszy programów telewizyjnych dla dzieci i młodzieży, autorki teledysków i książek o muzyce dla najmłodszych. Należy również podkreślić, że wszystkie pozycje książkowe wydawane są przez Łódzkie Wydawnictwo Literatura prowadzone przez Wiesławę Jędrzejczyk.

Izabella Klebańska to nie jedyna propagatorka i animatorka działań muzycznych w Łodzi. Łódź to miasto kobiet publicystek, kobiet na co dzień zajmujących się i propagujących kulturę muzyczną dla każdego w łatwy lub trudniejszy do przyswojenia sposób. To spora grupa kobiet, wśród których warto wymienić Aleksandrę Bęben, Annę Kolasę, Krystynę Pietranek-Kulis, Agatę Kwiecińską, Elżbietę Stępnik.

Łódź, miasto Muz, miasto kobiet, tych znanych i nieznanych, tych pamiętanych i niepamiętanych. Artystek, wokalistek, nauczycielek, naukowczyń, instrumentalistek, publicystek, po prostu dziewczyn, którym dziękujemy za wszystko to, co zrobiły dla nas i dla muzyki.



TERESA ŻYLIS GARA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

„KIEPURA PYSKIEM, A WAJSÓWNA DYSKIEM”

Wojciech Filipiak

Dziennikarz

Wielkie damy łódzkiego sportu



MARIA KWAŚNIEWSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nie da się ukryć, że sportowymi bohaterami byli przede wszystkim mężczyźni – od antycznych herosów i średniowiecznych mistrzów rycerskich turniejów, takich na przykład jak Zawisza Czarny i angielski Henryk VIII, po pierwszych mistrzów nowoczesnego sportu. Wskrzesiciel nowożytnych igrzysk olimpijskich Pierre de Coubertin nawet więc nie pomyślał, by włączyć żeńskie konkurencje do programu igrzysk.

Czyżby nie wiedział, że choć faktycznie w igrzyskach w Olimpii kobiety nie mogły uczestniczyć nawet w charakterze widzów, to jednak istniały igrzyska ku czci Hery i Artemidy, w których rywalizowały niezamężne niewiasty? Nie mógł jednak wiedzieć, że w antyku dziewczęta w strojach plażowych grały w piłkę, bo za jego czasów nie odkryto jeszcze mozaik w rzymskiej willi w Piazza Armerina na Sycylii. Tak czy owak, długo górę brało patriarchalne przekonanie o niestosowności biegów i skoków w damskiej bieliźnie i na udział kobiet w ruchu olimpijskim trzeba było czekać sporo lat. Ślady takiego podejścia mamy do dziś – w języku polskim nie ma przecież określenia kobiety uprawiającej sport! Jest sportowiec, ale jak nazwać kobietę – medalistkę olimpijską? Sportówką, sportowczyni? Czasem z rozpędu nazywa się panie na boisku sportsmenkami, ale to przecież lingwistyczny i logiczny absurd.

W początkach XX wieku kobiety na sportowych arenach zaczęły się jednak pojawiać coraz liczniej. Za jedną z dyscyplin odpowiednią dla pań, uznano tenis. Pierwszą znaną z imienia i nazwiska mistrzynią Łodzi jest więc Elza Gehlig, zwyciężczyni turnieju na kortach w Helenowie w roku 1909.

Do zwiększającej się popularności sportu i ćwiczeń fizycznych przyczynił się też zmieniający się model edukacji. Wprawdzie bardzo długo utrzymywano fikcję, że uczennice i uczniowie nie mogą należeć do klubów sportowych, ale na coraz wyższym poziomie stało szkolne wychowanie fizyczne. I tak młody nauczyciel wychowania fizycznego w gimnazjum Konopczyńskiej na Gdańskiej 90 - Ludwik Szumlewski (później pionier dziennikarstwa radiowego w Łodzi) zwrócił uwagę na zwinną, silną i szybką Marysię Kwaśniewską, która w mistrzostwach szkoły pokonała starsze o 3-4 lata koleżanki w skoku w dal, skacząc dobrze ponad cztery metry w mundurku szkolnym i wizytowych bucikach. Nie było na co czekać. Uczennica dostała „skierowanie” do zaprzyjaźnionego z Szumlewskim trenera Wacława Robakowskiego z Łódzkiego

Klubu Sportowego i tak zaczęła się jej wielka kariera, nie tylko przecież sportowa.

Zanim przejdziemy do opisu jej zwycięstw i rekordów, wspomnieć trzeba, że pierwszą łódzką olimpijką była osiem lat przed Kwaśniewską inna lekkoatletka Genowefa Kobielska-Cejzik-Zimnoch (1906-1993). Przyjechała do Łodzi z Łasku, by uczyć się w seminarium nauczycielskim. Do 1931 roku była członkinią ŁKS i jako zawodniczka tego klubu pojechała na igrzyska olimpijskie do Amsterdamu.

Jest sportowiec, ale jak nazwać kobietę – medalistkę olimpijską? Sportówka, sportowczyni? Czasem z rozpędu nazywa się panie na boisku sportsmenkami, ale to przecież lingwistyczny i logiczny absurd.

Jej najsilniejszą konkurencją był rzut dyskiem – w 1934 roku ustanowiła rekord świata w rzutach oburącz (łączna suma wyników lewą i prawą ręką), ale w Amsterdamie miała tylko wspierać bardziej doświadczoną Halinę Konopacką. Polkom na pewno było różniej we dwójkę – Konopacka (pochodząca z Rawy Mazowieckiej) była poza zasięgiem rywalek i zdobyła złoty medal, a Kobielska zajęła ósme miejsce. Była jedną z pierwszych w Polsce wykwalifikowanych trenerek po studiach w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego (dzisiejsza AWF w Warszawie), ale po wojnie osiedliła się we Wrocławiu odnosząc tam zawodowe sukcesy i już do Łodzi nie wróciła.

Jeszcze przed Kwaśniewską medal olimpijski przywiozła też w 1932 roku z Los Angeles Jadwiga Wajsówna (1912-90) z Pabianic, ale związana w Łodzi zawodowo i sportowo. Ona też rzucała dyskiem – także na medal, a nawet dwa,

bo w Los Angeles była trzecia, cztery lata później w Berlinie druga, a już po wojnie – w 1948 roku w Londynie zajęła czwarte miejsce. Nigdy się nie dowiemy, jakie sukcesy mogłaby osiągnąć, bo przecież jej starty w Berlinie i Londynie dzieli wojenna przerwa, która w przypadku igrzysk olimpijskich trwała aż 12 lat. Jako pierwsza na świecie przekroczyła granicę 40 metrów, była rekordzistką świata. Brała udział w zawodach do 1960 roku, a w rodzinnych Pabianicach dała się poznać jako ofiarna działaczka Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, zajmując się „dziećmi specjalnej troski” – jak wówczas mówiono, już w czasach, gdy mało kto się nimi interesował. Żyła skromnie, nie było o niej tak głośno jak o Kwaśniewskiej, jej pozasportowe dokonania znane były przede wszystkim w jej lokalnym środowisku. Dziś ma w Pabianicach swoją ulicę i szkołę jej imienia.

W latach trzydziestych zarówno Wajsówna (późniejsze nazwiska Grętkiewicz i Marcinkiewicz), jak i Kwaśniewska (Trytko, Koźmińska, Maleszewska) były popularnymi na owe czasy celebrytkami. O ślubie Wajsówny z rajdowcem i motocyklistą Franciszkiem Grętkiewiczem, którego poznała podczas kursu nauki jazdy, gazety pisały obszernie. Na pytanie, kto najbardziej rozsławia Polskę, odpowiadano „Kiepura pyskiem, a Wajsówna dyskiem”, ale to akurat odziedziczyła po Konopackiej, której sukces też



GENOWEFA
KOBIELSKA-CEJZIK-ZIMNOCH
FOT. DOMENA PUBLICZNA

śpiewaczej sławie Kiepury dorównywał. W życiu prywatnym tym trzem paniom – Kobielskiej, Wajsównie i Kwaśniewskiej – problemów jednak nie brakowało. Całej trójce wojna odebrała mężów, Kwaśniewskiej nawet dwóch.



NIE CZUJĘ SIĘ OD PANA MNIEJSZA -
MARIA KWAŚNIEWSKA
(PIERWSZA Z LEWEJ) W ŁOŻY Z HITLEREM
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Maria Kwaśniewska (1913-2007) najmocniej jednak utkwiała w zbiorowej świadomości Polaków, bo znalazła swoje eksponowane miejsce w sporcie długo po zakończeniu kariery wyczynowej, a społeczną działalnością doskonale budowała swoją – w najlepszym znaczeniu tego słowa - legendę. Na kolejne po berlińskich igrzyskach olimpijskich (w 1940 roku w Tokio) już nie pojechała. Jej życie na boisku skończyło się 31 sierpnia 1939 roku. Była na obozie treningowym we Włoszech przygotowując się już do następnego olimpijskiego sezonu, ale mimo nadchodzącej wojny postanowiła wrócić do kraju. Kto mógł, wyjeżdżał z Polski, ona pojechała „pod prąd”. Do Warszawy dotarła 2 września, a ostatni odcinek przejechała furmanką... Nie mieszkała już wtedy w Łodzi – warszawski AZS zapewniał wyczynowym sportowcom godne stypendia, rok wcześniej przeniosła się więc do stolicy, gdzie podjęła studia.

W Berlinie Kwaśniewska zdobyła

brązowy medal w rzucie oszczepem, ale nie tylko dlatego zdobyła sławę, przekraczając mury sportowych stadionów. Legendarne jest jej spotkanie z Adolfem Hitlerem, który miał zwyczaj przyjmowania medalistek (zwłaszcza niemieckich) w swojej łóży. Ponieważ złoty i srebrny medal zdobyły Niemki, nie wypadało pominąć i Polki. „Gratuluję medalu małej Polce.” – odezwał się do niej protekcyjnie Hitler, na co „mała Marysia” odpowiedziała buńczucznie: „Wcale nie czuję się mniejsza od pana”. Wszak miała 166 centymetrów wzrostu, podczas gdy Hitler – 160, i to w czapce, jak podkreślała. Wspólne zdjęcie medalistek z Hitlerem okazało się później cennym „ausweisem” podczas okupacji i nie raz uratowało życie jej samej oraz ludziom, którymi się opiekowała. W miarę upływu lat dodawała do tej historii nowe szczegóły, jak na przykład ten, że Hitler zaczął ją obmacywać i dał mu po łapach. To jest możliwe, bo podobną historię znalazłem w relacji amerykańskiej sprinterki Helen Stephens, złotej medalistki biegu na 100 metrów. „Może dlatego Hitler napadł na Polskę, że się na mnie obraził i chciał się zemścić?” – mawiała. Czyżby więc to nie Franek Dolas, bohater kultowego filmu, rozpętał drugą wojnę światową?

Polki miały zresztą poważne argumenty, by grać Hitlerowi na nosie. Kwaśniewską uznano za miss berlińskich igrzysk („były takie wygłupy, żeby wybrać najładniejszą dziewczuchę i padło na mnie” –

Polki miały zresztą poważne argumenty, by grać Hitlerowi na nosie. Kwaśniewską uznano za miss berlińskich igrzysk („były takie wygłupy, żeby wybrać najładniejszą dziewczuchę i padło na mnie” – wspominała w jednym z wywiadów) i na pewno z jej inicjatywy Polki postanowiły pokazywać się berlińskiej publiczności tylko w efektownym makijażu, podczas gdy nazistowska moralność zakazywała niemieckim kobietom grzesznego malowania się.

wspominała w jednym z wywiadów) i na pewno z jej inicjatywy Polki postanowiły pokazywać się berlińskiej publiczności tylko w efektownym makijażu, podczas gdy nazistowska moralność zakazywała niemieckim kobietom grzesznego malowania się.

Jej wojenne i życiowe losy to jednak znacznie więcej niż te pieprzne anegdoty. Udział w obro- nie Warszawy w 1939 roku, praca w konspi- racji, potem budowanie polskiego spor- tu od nowa, już z pozycji działacza Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Dwukrotnie owdowiała, prawdzi- wą rodzinę stworzyła dopiero z Władysławem Maleszewskim, słynnym przed wojną koszy- karzem, potem trenerem. Mia- ła dwoje dzieci, ale była także matką dla wielu olimpijczyków młodszego pokolenia, a z jej między innymi inicjatywy wpro- wadzono olimpijskie emerytury dla sportowców, którzy zdobyli medale na igrzyskach. Mieszkała w Warszawie, ale za- wsze pamiętała o Łodzi, gdzie miała wielu przyja- ciół i często przyjeżdżała. Jej wspomnień można było słuchać i słuchać. To duże niedopatrzenie, że do tej pory nie ma w Łodzi swojej ulicy. Nowe Centrum Łodzi zajęli już fabrykanci i filmowcy, ale znakomitym miejscem uczczenia jej pamięci są okolice budującego się nowego stadionu ŁKS, a dokładnie droga dojazdowa od Krzemienieckiej do bramy stadionu, która nie ma swojej nazwy. To jest dokładnie to miejsce, z którego wyruszy- ła po olimpijski medal i rekordy świata. Tabliczkę

Nie czuła się jednak dobrze jako kobieta i w 1937 roku poddała się operacji zmiany płci, stając się pierwszą w polskim sporcie osobą transseksualną. Owszem, plotkowano i pisano o tym w gazetach dużo, ale nikogo to nie gorszyło. W przeddzień operacji Zofia Smętek wypowiadała się i przyjęła komunie świętą, na co dzisiaj wielu biskupów by się pewnie nie zgodziło.

z jej imieniem i nazwiskiem będzie mijał w tym miejscu każdy kibic, idący na stadion albo do jednej z hal kompleksu przy alei Unii.

Warto w tym miejscu wspomnieć o jej najgroźniejszej rywalce na rzutni, Zofii Smętkównie (1910-83), koleżance klubowej z ŁKS, która też osiągała wyniki światowej klasy. Nie czuła się jednak dobrze jako kobie- ta i w 1937 roku poddała się opera- cji zmiany płci, stając się pierwszą w polskim sporcie osobą transseksu- alną. Owszem, plotkowano i pisano o tym w gazetach dużo, ale nikogo to nie gorszyło. W przeddzień operacji Zofia Smętek wypowiadała się i przyjęła komunie świętą, na co dzi- siaj wielu biskupów by się pewnie nie zgodziło. Witold Smentek (zmiana pisowni nazwiska też była symbo- liczna) zmarł w 1983 roku. Był dwu- krotnie żonaty, miał troje dzieci. Uprawiał z powodzeniem tenis sto- łowy, był także członkiem zarządu Polskiego Związku Tenisa Stołowego.

Do historii przeszedł medalowy rzut oszczepem Marii Kwaśniewskiej w Berlinie, ale przecież była ona nie tylko oszczepniczką. Skala jej talen- tu była niezwykła – tytuły mistrzyni Polski zdobywała nie tylko w lekkiej atletyce (oprócz rzutu oszczepem także w skoku w dal i pięcioboju), ale



ZOFIA SMĘTKÓWNA (DRUGA Z LEWEJ)
PODCZAS MECZU POLSKA-JAPONIA
W POZNANIU (1927)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

i w koszykówce oraz w hazenie (żeń-
ska odmiana piłki ręcznej).

O tym, jak ważną rolę odgrywał sport w okresie międzywojennym, świadczy osiem medali olimpijskich dla Polski w konkursach sztuki, organizowanych w latach 1912-1948 w ramach oficjalnego programu igrzysk. Jeden z nich – srebrny w 1932 roku - zdobyła łódzka artystka Janina Seideman-Konarska, późniejsza żona pisarza Antoniego Słonimskiego, wyróżniona srebrnym medalem za grafiki „Narciarze” i „Stadion”.



NARCIARZE,
JANINA KONARSKA-SŁONIMSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wajsówna i Kwaśniewska mają w historii łódzkiego sportu godne następczynię - olimpijki. W połowie lat sześćdziesiątych ze Szczecina, gdzie się wychowała, przyjechała do Łodzi Lucyna Krawcewicz, która nie tylko rzucała daleko oszczepem, biorąc udział w igrzyskach w Meksyku w 1968 roku (rekord życiowy 54,82 m, Kwaśniewskiej – 44,03 m), ale grała na ligowym poziomie w piłkę ręczną (między innymi w łódzkim Społem). Była też wyczynową szachistką. Do emerytury pracowała jako trenerka i nauczycielka wf w łódzkich szkołach.

Zawodniczką sekcji lekkoatletycznej Startu Łódź w latach 1986-93 była z kolei Renata Katewicz, olim-

pijka z Seulu 1988 i Atlanty 1996. Jej ustanowiony w 1988 roku w Łodzi rekord Polski 66,18 m jest niepokonywany do dziś i o 20 metrów lepszy niż rzut Wajsówny w Berlinie. No cóż, metody treningowe zmieniły się jeszcze bardziej niż stroje i fryzury zawodniczek.

Tyle sportowego szczęścia co Wajsówna i Kwaśniewska nie miała ich trochę młodsza koleżanka z ŁKS Jadwiga Głazewska-Walasek (1914-79). Była chyba jeszcze bardziej wszechstronna niż tamte dwie: w 1938 roku została mistrzynią Polski w sztafecie 4x100 metrów, a w 1939 – w rzucie dyskiem. Szczyt formy szykowała na igrzyska w 1940 roku. Osiem razy (1929-38) była mistrzynią Polski w hazenie jako zawodniczka ŁKS i IKP, dwukrotnie (46-47) w barwach łódzkiego Zrywu zdobyła mistrzowski tytuł w piłce ręcznej. W 1938 roku grała w reprezentacji Polski, która zdobyła brązowy medal mistrzostw Europy w koszykówce, zdobyła jedenaście medali w mistrzostwach Polski koszykarek, w tym dwa złote - w 1939 i 1946 - w zespołach IKP i TUR. Te daty najlepiej pokazują, ile mogłaby osiągnąć, gdyby nie wojenna wyrwa. Po wojnie, do 1954 roku, była najlepszą w Polsce łyżwiarką, mistrzynią kraju w biegach na wszystkich dystansach i w wieloboju w latach 1949-50. Pochodziła



JANINA KONARSKA-SŁONIMSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

z rodziny o lewicowych tradycjach – od 1930 roku działała w Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej, podczas okupacji – od 1943 roku w Polskiej Partii Robotniczej.

Nie można pominąć na tej liście Teresy Wieczorek-Cieplą (1937-2006), zdobywczyni złotego medalu olimpijskiego w sztafecie 4x100 metrów i srebrnego w biegu na 80 m przez płotki w 1964 roku oraz brązowego w sztafecie cztery lata wcześniej w Rzymie. Urodziła się w Brodni koło Łasku, ale zaraz po wojnie jej rodzice przenieśli się do Łodzi. Tu chodziła do szkoły i w 1954 roku rozpoczęła treningi w ŁKS. Grała też w siatkówkę, trenerzy lekkiej atletyki i siatkówki doszli jednak wspólnie do wniosku, że na siatkarkę jest... za szybka i szkoda jej do tej gry. Mieli rację.

Po igrzyskach w Rzymie wyszła za mąż za kolegę z reprezentacji, młociarza Olgierda Cieplęgo i przenieśli się do Bydgoszczy, wiążąc się z tym miastem na stałe.

Przez wiele lat do krajowej czołówki należały łódzkie zespoły siatkówki i koszykówki. Gwiazdą przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych była Mirosława Zakrzewska-Kotula (1932-85), dwukrotna mistrzyni Polski z Chemią Łódź (1949-50) i wicemistrzyni świata w siatkówce w 1952 roku, a „przy okazji” trzykrotna mistrzyni Polski w piłce ręcznej w łódzkich drużynach Chemia i Unia i reprezentantka Polski w koszykówce (piąte miejsce w mistrzostwach Europy w roku 1952). W roku 1968 pierwszym tytułem mistrzowskim nową erę łódzkiej siatkówki otworzył łódzki Start, w którym liderką była Barbara Hermel-Niemczyk. Jest brązową medalistką igrzysk olimpijskich w Meksyku w 1968 roku, a długo byłam przekonany, że brązowy medal zdobyła też cztery lata wcześniej w Tokio. Jej nazwisko znalazło się w ogłoszonym oficjalnie składzie reprezentacji, ale nagle trzeba było zwolnić miejsca dla dodatkowych oficjeli i wykreślono dwie najmłodsze z drużyny, czego ówczesne „skarby kibica” nie uwzględniły. Dowiedziałem się o tym dopiero jako zawodowy dziennikarz kilka lat później, a dzisiaj można dojść do smutnej konstatacji, że wycofywanie zawodników z reprezentacji na Tokio w ostatniej chwili (jak ostatnio grupy pływaków) ma przykrą, niestety, tradycję. Córką Barbary i Andrzeja Niemczyków jest Małgorzata, mistrzyni Europy z 2003 roku w drużynie taty, od trzech kadencji (wybrana w 2011 roku)

łódzka posłanka na Sejm z Platformy Obywatelskiej.

W 1967 roku pierwszy tytuł mistrzyni Polski w koszykówce zdobyły też zawodniczki ŁKS. W tym okresie gwiazdami drużyny klubowej i reprezentacji były Małgorzata Smoleńska-Kwiatkowska, dziś prezeska Rady Naczelnej Polonii Australijskiej oraz Teresa Strumiłło-Gburczyk i Bożena Marciniak-Storożyńska.

To pokolenie olimpijskiej nobilitacji się nie doczekało, tak jak następne, w którym panowała Bożena Wołujewicz-Sędzicka, dwukrotna wicemistrzyni Europy i zdobywczyni dziesięciu medali mistrzostw Polski, w tym trzech złotych. W roku 2000 na igrzyskach Sydney w reprezentacji zagrały mistrzyni Europy z 1999 roku – Sylwia Włażlak (z domu Gawrysiak), Elżbieta Nowak-Trzeźniewska i Edyta Koryzna (z domu Żuk) – wtedy wszystkie grające w MTK Pabianice, ale wcześniej i później długo związane z ŁKS. Cała trójka to aktywnie działające obecnie trenerki, a pięciokrotna mistrzyni Polski Elżbieta Nowak, która pochodzi z Jeleniej Góry, ale maturę zdawała już w Pabianicach, dostała w tym roku nagrodę PKOl. imienia prof. Zofii Żukowskiej za promowanie wartości fair play w sporcie.



MAŁGORZATA NIEMCZYK
FOT. ARCHIWUM SEJMU RP



HALINA KONOPACKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Na trwale do historii ŁKS i łódzkiego sportu w ogóle przeszła Daiva Jodeikaite, Litwinka, która trafiła do ŁKS za sprawą trenera Józefa Żylińskiego. Była wtedy studentką w Wilnie, przerwała studia, ale nie przewidziała, że urlop dziekański musiałby trwać 15 lat, bo tak długo grała w ŁKS, z którym zdobyła dwa złote, trzy srebrne i dwa brązowe medale mistrzostw Polski. Związała się z Łodzią na stałe, założyła rodzinę (ma dwoje dzieci), uczy dziewczyny grać w koszykówkę z nadzieją, że ŁKS odzyska dawną potęgę. Opiekowała się trenerem Żylińskim do końca jego życia. Wspaniała koszykarka, wielki szlachetny człowiek.

Sukcesy koszykarek i siatkarek to zasługa trenerów Józefa Żylińskiego, Henryka Langierowicza, Andrzeja Nowakowskiego, Andrzeja Chmielnickiego, Ryszarda Felisiaka. Zapytałem kiedyś znajomą ligową siatkarkę, dlaczego ich drużynami nie opiekują się kobiety. „Zwariowałaś? To dopiero by było!” – krzyknęła wręcz przerażona. Zaskoczyła mnie taka reakcja, ale na pewno niechęć do trenerek nie dotyczy na przykład łyżwiarstwa figurowego. Z tej dyscypliny na liście wielkich dam łódzkiego sportu znaleźć się musi Maria Gall-Olszewska-Lelonkiewicz (1939-2007), opiekunka olimpijskich duetów tanecznych na igrzyskach w 1994, 1998, 2002 i 2006 roku. Jako zawodniczka nie zrobiła kariery, ale jako trenerka odnalazła się znakomicie. Najślawniejszą jej wychowanką

jest Sylwia Nowak-Trębacka, która sama brała udział w igrzyskach dwukrotnie, a teraz kontynuuje pracę swojej mistrzyni i przygotowuje do zimowych igrzysk w Pekinie kolejny duet.

Wszystkie wymienione tu panie mają już na stałe miejsce w historii łódzkiego, polskiego, a nawet światowego sportu. Zapracowały na swoją legendę nie tylko medalami, rekordami i tytułami mistrzowskimi, ale i pozasportowym życiem. Kto będzie na tej liście następny? Jako pierwszą wymieniłem w tym tekście tenisistkę, może więc będzie to Magda Fręch, która blisko jest światowej czołówki w tej dyscyplinie i coraz odważniej idzie po śladach swojej starszej koleżanki, też łodzianki Katarzyny Nowak, olimpijki z Barcelony w 1992 roku, która grywała z powodzeniem w wielkoszlemowych turniejach na długo przed erą Agnieszki Radwańskiej i Igi Świątek? A może – czasy się zmieniają – będzie to ktoś z dyscyplin, o której dziewczęta i kobiety kiedyś nawet nie myślały? Mamy jednak w Łodzi zespół UKS SMS, który jest wicemistrzem Polski w żeńskiej piłce nożnej i ma w swoim składzie reprezentantki kraju, a także mistrzynię Polski w rugby do lat 16 z łódzkich Budowlanych... Lista jest otwarta.



JADWIGA WAJSÓWNA
FOT. DOMENA PUBLICZNA



JADWIGA WAJS I MARIA KWASNIEWSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

URSZULA CZARTORYSKA – PIERWSZA KRYTYCZKA FOTOGRAFII W POLSCE

Maria Franecka

Muzeum Sztuki

„Nikt tak jak ona nie potrafił pisać o niejednoznacznej sztuce fotografii” - tak Marek Grygiel wspominał Urszulę Czartoryską. Ta wybitna badaczka i teoretyczka sztuki przez większość swojego zawodowego życia była związana z Muzeum Sztuki w Łodzi. To dzięki jej wrażliwości i uważności na interesujące zjawiska w tej dziedzinie, Muzeum Sztuki w Łodzi może poszczycić się wyjątkową kolekcją fotografii, wciąż niewystarczająco rozpoznawalną, biorąc pod uwagę różnorodność zbioru i rangę obecnych w niej prac.

WCZESNE LATA

Urszula Czartoryska (ur. 1934 – zm. 1998) urodziła się w Konarzewie koło Poznania w majątku rodzinnym. Miała siedmioro rodzeństwa. Wojnę spędziła niedaleko Warki. Po wojnie jej rodzina osiedliła się w Puszczykowie, a następnie w Puszczykówku koło Poznania. Od 1946 uczyła się w katolickich szkołach prowadzonych przez zakonnice i mieszkała w internacie. Po maturze w 1951 roku wybrała studia historii sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Prawdopodobnie o takim wyborze uczelni zdecydował fakt, że jako osoba z arystokratycznymi korzeniami miała ograniczone możliwości. Była zmuszona wybrać miasto odległe, z którym jej rodzina nie była specjalnie związana. Jej codzienność w tym okresie możemy poznać dzięki listom, które pisała do rodziców²⁵. Były przeważnie długie i serdeczne. Urszula Czartoryska relacjonowała w nich trudną codzienność powojennego Lublina, prosiła o dostanie niezbędnych przedmiotów i dopytywała nieustannie o samopoczucie domowników. Regularnie dzieliła się także swoimi refleksjami na temat inspirujących wykładów, spostrzeżeniami na temat obejrzanych filmów, przeczytanych książek, czy nawiązywanych znajomości. Skrupulatnie też relacjonowała swoje postępy na studiach. Listy te opublikowane przez wydawnictwo naukowe KUL, są świadectwem jej dużej dojrzałości zarówno w podejmowanych wyborach i ocenach, jak i stawianiu czoła trudnościom związanym z prowadzeniem życia dosłownie na granicy minimum egzystencjalnego. Ilustrują także stopniową emancypację intelektualną względem wartości nabytych w czasie pobytu w szkołach zakonnych i wynikających z arystokratycznego

25. Por. Urszula Czartoryska, *Listy do Rodziców (1951-1957); Teksty (1954-1960)*, wyd. Towarzystwo Naukowe KUL, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, red. Małgorzata Kitowska-Tysiak, Kamila Leśniak, Lublin, 2010.

pochodzenia²⁶. Na studiach, poszukując źródeł dochodu, podejmowała się m. in. pisanie artykułów o oglądanych wystawach. Ważną motywacją w tej aktywności było także dążenie do wyklarowania własnego głosu, będącego emanacją indywidualnej wrażliwości. W tym okresie utrzymywała bliską relację z Jerzym Ludwińskim, kolegą ze studiów, potem wybitnym teoretykiem sztuki związanym głównie z Wrocławiem. Śladem ich wymiany intelektualnej, w czasie, kiedy oboje studiowali, może być opublikowana na łamach czasopisma „Kamena” *Dyskusja nieantagonistyczna*, gdzie oboje z lekkością, wdziękiem i odrobiną swady, prowadzą dialog na temat lubelskiej Wystawy Wiosennej²⁷. Nie uciekając od subiektywnych ocen omawiają poszczególne zaprezentowane na ekspozycji obrazy. Czasy studiów były dla obojga związane także z aktywnością w ramach grupy „Zamek”. Ta lubelska grupa artystyczna, której teoretycy i teoretyczki wywodzili się głównie ze studentów KULu, przeciwstawiała się, jak pisał Ludwiński, „akademizmowi sztuki oficjalnej” i eksperymentowała ze środkami wyrazu charakterystycznymi dla nurtów awangardowych. Powiew wolności wносиła także obecność wykładowcy Jacka Woźniakowskiego, który prowadził wykłady z historii sztuki nowoczesnej i historii doktryn artystycznych²⁸.

W czasie studiów Urszula Czartoryska regularnie podróżowała do Warszawy, spotykała się ze starszym rodzeństwem i oglądała wystawy. Po uzyskaniu tytułu magistry w 1956 roku, poszukując pracy, postanowiła przeprowadzić się do stolicy. W Warszawie nawiązała rozmaite artystyczne kontakty i znalazła zatrudnienie w czasopiśmie „Fotografia” – opiniotwórczym miesięczniku. Redaktorem naczelnym był wówczas Zbigniew Dłubak, wybitny artysta, pod którego pieczęć czasopismo to osiągnęło nadzwyczajną świetność i zasięg. Urszula Czartoryska jako sekretarz redakcji podejmowała tematy związane ze współczesnymi zjawiskami w fotografii i sztuce. Cały czas śledziła aktualne trendy i tendencje, nieustannie się doksztalała i dzieliła z czytelnikami i czytelniczkami swoimi spostrzeżeniami. Współpraca z tym magazynem bez wątpienia w dużym stopniu ukształtowała Czartoryską jako krytyczkę. W tym czasie poruszała się także w kręgu galerii Krzywego Koła, będącej ważnym

26. Adam Mazur, *Pierwsza Dama Polskiej Fotografii*, (w:) *Monografia Muzeum Tom 1*, Muzeum Sztuki w Łodzi, red. Aleksandra Jach, Katarzyna Słoboda, Joanna Sokołowska, Magdalena Ziolkowska, Łódź, 2015, s. 658.

27. Urszula Czartoryska, Jerzy Ludwiński, *Dyskusja nieantagonistyczna*, [w:] „Kamena” 1955, nr 3-4, s. 60-63, [przedruk w:] Urszula Czartoryska, *Listy do Rodziców (1951-1957); Teksty (1954-1960)*, s. 199-207.

28. Piotr Majewski, *Nowocześni i nowatorscy*, w: *Grupa Zamek, Historia – Krytyka – Sztuka*, wyd. wyd. Towarzystwo Naukowe KUL, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, red. Małgorzata Kitowska-Łysiak, Marcin Lachowski, Piotr Majewski, Lublin, 2007, s. 14.

ośrodkiem dla ówczesnej warszawskiej inteligencji.

PRZEPROWADZKA DO ŁODZI

W tym okresie poznała swojego przyszłego męża Ryszarda Stanisławskiego, wybitnego historyka sztuki. Kiedy niemal dekadę później został on powołany na dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi wspólnie przeprowadzili się do tego miasta. Zajęli skromne służbowe mieszkanie przy pałacu Maurycego Poznańskiego. Od tej pory do początku lat 90-tych ich codzienne funkcjonowanie było nierozdzielnie połączone z życiem tej instytucji. W przestrzeniach, które przez kilka dekad zajmowali Stanisławscy znajdują się obecnie biura Muzeum Sztuki.

Urszula Czartoryska wspierała męża swoją wiedzą merytoryczną na temat sztuki i fotografii. Brała udział w pracach koncepcyjnych i przygotowaniu licznych kluczowych dla historii Muzeum wystaw, takich jak m. in. *Présences Polonaises* (Paryż, 1983), czy *Europa, Europa* (Bonn, 1994). Ich córka, Olga Stanisławska, która wzrastała w Łodzi wspomina, że rodzice nieustannie dyskutowali - zarówno o wadze poszczególnych zjawisk artystycznych, konkretnych twórców, jak i aspektach organizacyjnych funkcjonowania Muzeum. Z wywiadów przeprowadzonych z byłymi pracownikami instytucji wynika, że wkład Czartoryskiej w program merytoryczny jest nie do przecenienia. Wspierając męża, często pozostawała w cieniu. Miała na to wpływ zapewne ówczesna obyczajowo-

... z wywiadów przeprowadzonych z byłymi pracownikami instytucji wynika, że wkład Czartoryskiej w program merytoryczny jest nie do przecenienia.



KONFERENCJA PRASOWA
FOT. ARCHIWUM MUZEUM SZTUKI, ŁÓDŹ

wość, jednak ze względu na bliskość tej relacji wkład Czartoryskiej w spuściznę Ryszarda Stanisławskiego pozostaje z perspektywy dzisiejszych badań niezwykle trudny do miarodajnej oceny. Poza tym, to właśnie na badaczce w większości przypadków spoczywał obowiązek karmienia wernisażowych gości – także w okresie ustawicznego niedoboru artykułów spożywczych. Legendarny stał się jej przepis na serwowaną w czasie wernisaży fasolkę jaś z uprawianą w muzealnym ogrodzie pietruszką. To ona także przejmowała przytłaczającą większość domowych obowiązków.

TWORZENIE KOLEKCJI

Jednym z największych dokonań Urszuli Czartoryskiej było stworzenie pionierskiego w tamtych czasach Działu Fotografii i Technik Wizualnych. Został on powołany w listopadzie 1977 roku. Lech Lechowicz, długoletni współpracownik Urszuli Czartoryskiej, podkreśla, że była to „jedyna wówczas w naszym kraju międzynarodowa, muzealna kolekcja sztuki medialnej (fotografia, film, video, instalacje multimedialne)”. Przeglądając korespondencję Działu można odnieść wrażenie, że Czartoryska w momencie jego powołania miała już

dokładnie przemyślane, z jakimi artystami, artystkami czy spadkobiercami warto się skontaktować. Koniec roku 1977 i rok 1978 był okresem szczególnie intensywnej korespondencji w celu pozyskania prac do kolekcji. Tworząc ją badaczka bez wątpienia wzięła pod uwagę profil Muzeum Sztuki w Łodzi – ukształtowany przez dar grupy a. r. Członkowie tej grupy – trójka artystów: Władysława Strzemiński, Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski oraz dwaj poeci – Julian Przyboś i Jan Brzękowski mieli świadomość wagi i siły oddziaływania sztuki współczesnej. Pragnęli udostępnić łódzkiej publiczności twórczość ówczesnej awangardy. Wykorzystując swoje międzynarodowe kontakty zebrali zespół niezwykle wysokiej klasy prac i przekazali ponad sto obiektów do Muzeum. Ten odważny gest, wykonany jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego wieku, ukształtował charakter łódzkiej instytucji.

Tworząc kolekcję fotografii Urszula Czartoryska zgromadziła szereg wybitnych prac twórców awangardowych z początków dwudziestego wieku, posługujących się medium fotografii i filmu. Z jednej strony uwzględniła, tak jak już wspominałam, charakter Muzeum Sztuki w Łodzi, z drugiej zdawała sobie sprawę z wagi przemian, które zaszły w fotografii w pierwszych dekadach ubiegłego stulecia. W tym okresie medium to było niejako ponownie odkrywane. Stopniowo przestano upodabniać obraz fotograficzny do wzorów znanych z malarstwa, czy grafiki. Zaczęto wykorzystywać możliwości właściwe temu medium. W zbiorach Muzeum Sztuki znalazł się m. in. *Reportaż z Gdyni* (1935) Janusza Marii Brzeskiego, w którym artysta sięgając po nowowidzeniowe środki wyrazu ukazuje niedawno wybudowane miasto – Gdynię. Ze zdjęć tych emanuje fascynacja techniką i pozytywna wizja postępu. Prace Aleksandra Krzywobłockiego, artysty o wrażliwości bliskiej twórcom surrealizmu znalazły się także w kolekcji. Dominują tutaj tajemnicze portrety, często z motywem lustra lub uwzględnieniem cieni rzucanych przez poszczególne części ciała. Urszula Czartoryska doceniała także twórczość fotograficzną Stanisława Ignacego Witkiewicza – Witkacego. Pozował chętnie, stylizując się na postaci z rozmaitych warstw społecznych, starał się także przybierać adekwatny wyraz twarzy. W ten sposób badał granice własnej ekspresji i przeprowadzał refleksję nad pojęciem tożsamości. W kolekcji znalazły się także prace artystów i artystek wywodzących się z nurtu piktorialnego, takich jak m. in. Krystyna Gorazdowska, Witold Romer czy Jan Alojzy Neumann.

Ostrożnie eksperymentowali oni z nowymi środkami wrażeń uzyskując często bardzo interesujące efekty²⁹.

Również jeśli chodzi o powojenne eksperymenty, Czartoryska była otwarta na nowe tendencje. W przemyślany i staranny sposób dobierała prace do kolekcji. Nabyła dzieła artystów, którzy wzięli udział w dwóch ważnych dla środowiska wystawach

- *Fotografia subiektywna* (1968) i *Fotografowie poszukujący* (1971). Byli to, między innymi,

Zbigniew Dłubak, z którym przez szereg lat pracowała w redakcji czasopisma „Fotografia”, Marek Piasecki – w zbiorach znalazły się jego heliografie o biomorficznych kształtach, czy Bronisław Schlabs, wiele z jego fotografów charakteryzuje ekspresyjny gest artysty. W tym kontekście należy też wspomnieć o twórcach z kręgu toruńskiej grupy ZERO 61. Łączyli oni bogatą metaforę z zainteresowaniem samym medium fotografii. Tworzyli

poetyckie prace, korzystając z takich środków wyrazu, jak powtórzenia czy superekspozycja – dzięki temu uzyskiwali wrażenie oniryczności i niejednoznaczności przedstawienia. Późniejsze eksperymenty członków tej grupy i kilku innych artystów z Łodzi, już pod nazwą Warsztat Formy Filmowej koncentrowały się głównie na zagadnieniu medium fotograficznego, filmowego i video, jego możliwościach i ograniczeniach. Poruszały kwestię

29. Por. Broszura towarzysząca wystawie Czula uwaga. Urszula Czartoryska wobec fotografii, kuratorki i autorki tekstów: Maria Franecka, Marta Szymańska, Łódź, 2021 s. 13.

wiernego oddania rzeczywistości i iluzoryczności powyższych sposobów rejestracji rzeczywistości. Odrzucały literackość, by w pełni skupić się na eksplorowaniu samej natury poszczególnych mediów. Także eksperymenty środowiska wokół wrocławskiej grupy PERMAFO, w które to wgląd Czartoryska miała m. in. dzięki kontaktom z byłym partnerem z KULu - Jerzym Ludwińskim, zostały włączone do zbiorów.

Urszulę Czartoryską interesowała fotografia nie tylko jako narzędzie w rękach artystów. Bardzo ceniła reportaże - w kolekcji znalazł się m. in. interesujący cykl Benedykta Jerzego Dorysa p.t. *Kazimierz nad Wisłą* (1931-1932). Artysta utrwalił na nim przedwojenne miasteczko, jego małe uliczki, sklepy, powolnie toczące się życie mieszkańców. Ceniła także twórczość Jana Bułhaka – do kolekcji trafiło ponad 800 jego prac należących do przedsięwzięcia, które sam artysta określił mianem „fotografii ojczystej”. Z inwentaryzatorską dokładnością dokumentował rozmaite regiony Polski: zabytki, krajobrazy oraz obyczaje mieszkańców. Jego misja miała przede wszystkim polityczny charakter: pragnął rozbudzić w Polakach poczucie tożsamości narodowej, osłabionej przez okres zaborów. Na wraz-



KONFERENCJA PRASOWA
FOT. ARCHIWUM MUZEUM SZTUKI, ŁÓDŹ

Tworząc kolekcję fotografii Urszula Czartoryska zgromadziła szereg wybitnych prac twórców awangardowych z początków dwudziestego wieku, posługujących się medium fotografii i filmu. Z jednej strony uwzględniła, (...), charakter Muzeum Sztuki w Łodzi, z drugiej zdawała sobie sprawę z wagi przemian, które zaszły w fotografii w pierwszych dekadach ubiegłego stulecia.

liwość i wybory kuratorskie Urszuli Czartoryskiej duży wpływ wywarła wystawa kuratorowana przez Edwarda Steichena pt. *Rodzina człowiecza*, która swoją premierę miała w 1955 roku, a w Polsce została zaprezentowana w 1959. Była ona reakcją na

okrucieństwa wojny, nie stanowiła jednak

próby przepracowania traum lecz była

afirmacją piękna codzienności. Jej

głównym przesłaniem była chęć

pokazania jedności rodzaju

ludzkiego, bez względu na

rasę, obyczaje, czy zamiesz-

kiwaną szerokość geo-

graficzną. W Polsce do

przedstawicieli tego ga-

tunku fotografii określa-

nej jako humanistyczna

możemy zaliczyć m. in

Bogdana Dziwoskiego,

jego prace, znalazły się

także w łódzkiej kolekcji.

Czartoryska zdecydowa-

ła się na włączenie do zbioru

fotografii, które określilibyśmy

dzisiaj jako wernakularne – zdję-

cia amatorskie czy portrety ateliero-

we, przeznaczone do użytku domowego.

Zainteresowanie tym rodzajem fotografii badaczka wyrażała także w swoich esejach, tematyzując migrację ze strefy prywatnej do publicznej, czy omawiając rozmaite funkcje i zastosowania tego rodzaju fotografii³⁰.

30. Por. tamże, s. 23 - 25.

Od maja do września 2021 roku w filii Muzeum Sztuki w Łodzi przy Ogrodowej 19, prezentowana była wystawa pt. *Czuła uwaga. Urszula Czartoryska wobec fotografii*. Ekspozycja ukazywała wybór prac z kolekcji w kontekście działalności teoretycznej badaczki.

PRZYJAŹŃ Z ARTYSTAMI

Czartoryska utrzymywała serdeczne kontakty z wieloma artystami i artystkami. Jak wspomina jej córka Olga, szczególnie bliska było jej dwoje twórców mieszkających w Gliwicach: Zofia Rydet, autorka słynnego *Zapisu socjologicznego* (1978-1990), na który składały się portrety mieszkańców wsi i małych miasteczek we wnętrzach ich domostw oraz Jerzy Lewczyński, autor koncepcji „archeologii fotografii”, w myśl której artysta wykorzystywał znalezione w rozmaitych sytuacjach zdjęcia. Podobna wrażliwość łączyła Czartoryską także z Evą Rubinstein - jej fotografie przedstawiające otoczenie twórczyni, przesycane są wyjątkową nastrojowością i można je traktować bardziej jako portret wewnętrzny niż dokumentację rzeczywistego świata.

Z wywiadów przeprowadzonych z kolegami po fachu wynika, że Czartoryska często i chętnie pojawiała się na zjazdach fotoamatorów. Interesowały ją także dokonania mniej znanych fotografów i fotografek. Jako członkini jury czy rozmaitych gremiów z zaangażowaniem i cierpliwością przeglądała konkursowe prace czy fotografie poplenerowe, wydając przemyślane, choć czasem powściągliwe opinie. Jej postawa i działalność krytyczna przyczyniły się do stopniowej konsolidacji środowisk artystycznych i fotograficznych, wcześniej działających w izolacji.

DZIAŁALNOŚĆ KRYTYCZNA, KURATORSKA I DYDAKTYCZNA

Poza tworzeniem kolekcji Czartoryska zajmowała się także kuratorowaniem wystaw. W Muzeum Sztuki były to m. in. ekspozycja czeskiej awangardowej grupy *Devětsil* z okresu dwudziestolecia międzywojennego, wystawa Franciszki i Stefana Themersonów, czy Douglasa Davisa.

Badaczka była autorką wystaw fotografii za granicą promujących Polską twórczość. Do najważniejszych z nich możemy zaliczyć dział fotografii awangardowej na wystawie Fotografia Polska ICP (Nowy Jork, 1979); *Polish Perspectives* (Glasgow, 1989), czy Arcydzieła fotografii Polskiej 1912-1948 w ramach miesiąca Fotografii w Paryżu (1992).

Zajmowała się także działalnością dydaktyczną. W latach 1970-1996 wykładała historię fotografii lub historię sztuki XX wieku m. in. w dzisiejszej w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi, na Uniwersytecie Łódzkim, na dzisiejszym Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, na Wyższym Studium Fotografii ZPAF, a także w Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie.

W 1965 roku ukazała się jej książka pt. *Przygody plastyczne fotografii*.

Współcześnie, pomimo upływu lat, publikacja ta nadal pozostaje w dużym stopniu aktualna i inspirująca dla badaczy.

Czartoryska dokonuje w niej prekursorskich analiz śledząc rozwój fotografii i malarstwa oraz wzajemny wpływ tych obu dziedzin sztuki. Omawia także zastosowanie fotografii

w tworzeniu kolaży, jako „materiału w warsztacie grafika” oraz rolę i wagę tego medium w szeroko

pojętej kulturze wizualnej. Przywołuje do-

konania czołowych twórców znanych z areny międzynarodowej i zestawia ich prace z rodzimą działalnością artystyczną. Adam Mazur, wybitny znawca fotografii podkreśla, że Czartoryska w tej publikacji wyprzedza epokę, ponieważ interpretując fotografię, wprowadza kulturoznawcze ujęcie, które upowszechni się dopiero od lat 80-tych³¹.

W kolejnej książce, także niezwykle ważnej dla całego pokolenia artystów, artystek, teoretyków

31. Adam Mazur, tamże, s. 668.

i teoretyczek, Czartoryska wykorzystała swoją znajomość sztuki w międzynarodowym kontekście. Biegle znała angielski i francuski, co umożliwiało jej śledzenie ważnych tekstów z dziedziny szeroko pojętej humanistyki, a także obserwację aktualnych trendów. W publikacji *Od pop artu do sztuki koncepcyjnej* (1973) zwraca uwagę na zmianę w sposobie myślenia, która dokonała się w latach 70-tych. W tym okresie kwestie formalne zostają stopniowo zepchnięte na margines. Doskonałość warsztatowa, czy eksperymenty formalne przestają odgrywać kluczową rolę. Zagadnieniami najbardziej interesującymi dla artystów i artystek stają się przede wszystkim koncept, idea, świadomość czy zaangażowanie.

Zajmowała się także działalnością dydaktyczną. W latach 1970-1996 wykładała historię fotografii lub historię sztuki XX wieku m. in. w dzisiejszej w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi, na Uniwersytecie Łódzkim, na dzisiejszym Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, na Wyższym Studium Fotografii ZPAF, a także w Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie.

Odeszła w wieku zaledwie 64 lat w wyniku szybko rozwijającej się choroby nowotworowej.



KONFERENCJA PRASOWA
FOT. ARCHIWUM MUZEUM SZTUKI, ŁÓDŹ



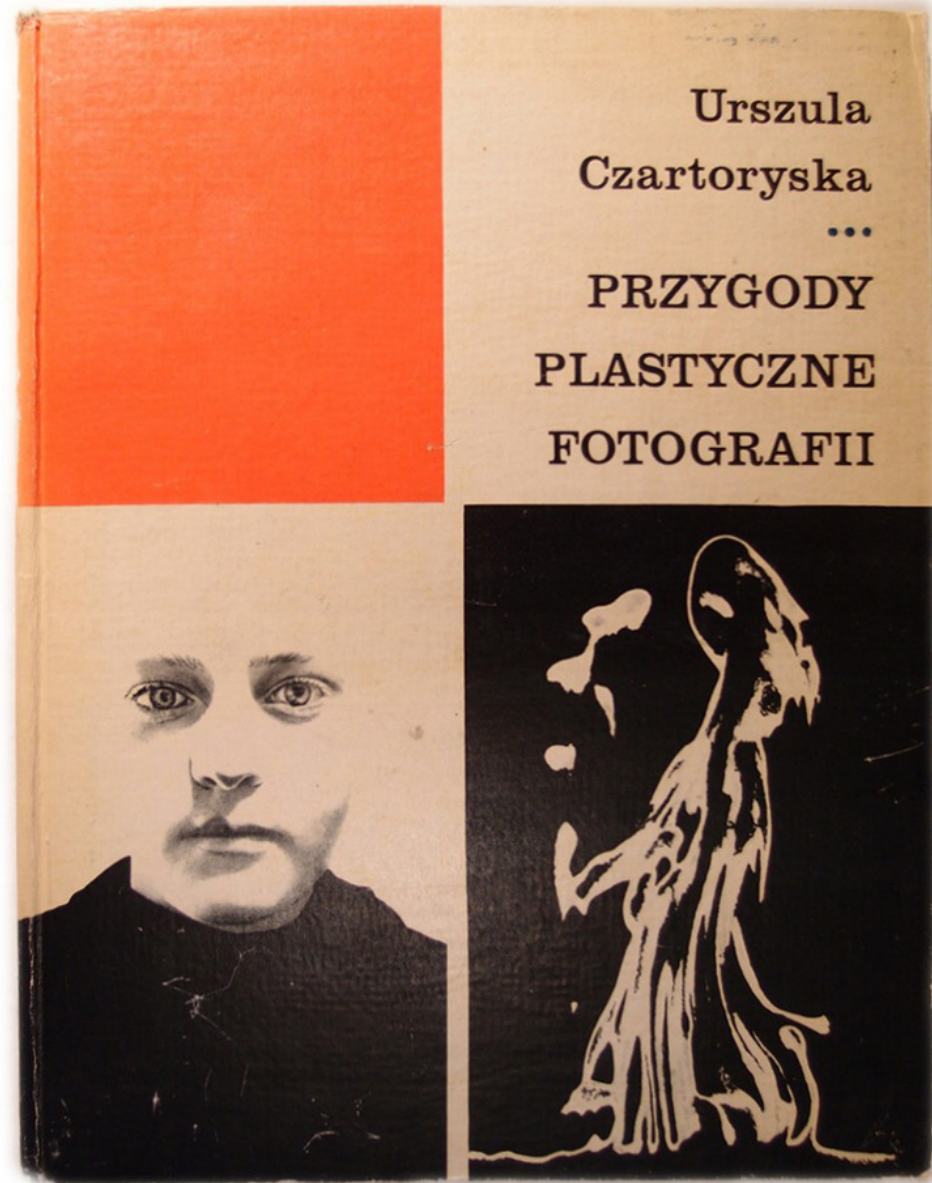
KONFERENCJA PRASOWA
FOT. ARCHIWUM MUZEUM SZTUKI, ŁÓDŹ

PIERWSZA DAMA POLSKIEJ FOTOGRAFII?

Urszula Czartoryska bywa określana jako „pierwsza dama polskiej fotografii”. Stwierdzenie, w założeniu zapewne miało być nobilitujące, umniejsza jednak znaczenie badaczki. Jak trafnie pyta Adam Mazur: „Czy można na poważnie traktować myśli pierwszej damy?”³². Takie określenie, pomijając kontekst klasowy, umieszcza ją jedynie w pozycji żony swojego męża, efektywnego dodatku. To ujęcie dla osoby o tak niezwykle wrażliwości, przenikliwości osądów i imponującym dorobku jest bez wątpienia krzywdzące i umacnia patriarchalny schemat, w który z racji ówczesnej obyczajowości została wpisana.

32. Adam Mazur, tamże, s. 656

Fotodokumentacja wystaw i wydarzeń Muzeum Sztuki dostępna jest na portalu internetowym Zasoby: <https://zasoby.msl.org.pl>



ŁÓDZKA DROGA Kobiet DO MEDYCyny – KIEDY KROPLA RZECZYWIŚCIE DRAŻY(ŁA) SKAŁĘ

dr Maria Biegańska-Płonka

Uniwersytet Medyczny w Łodzi



ZAPROSZENIE

Czy warto je poznać?

Zapraszam.

Kobiety w medycynie – tym razem bez wybitnych życiorysów.

Kobiety – pacjentki. Także te, które miały kontakt z medycyną z powodu choroby bliskich.

Pojawiły się na obrzeżach tekstów medycznych, na chwilę wyszły z cienia.

Zwykle dzięki zaskakującym szczegółom.

Chcę, aby połączyło je miasto i odległa już perspektywa historyczna – lata 1900-1939.

Czy po tamtej Łodzi został jakiś ślad życia, który możemy poczuć?

Dziś ze zdziwieniem odkryłam, że skrzypienie i nerwowy rytm tramwajów na przystanku „Centrum” przypomina oddech dawnego miasta, w którym brak podziału na strefę mieszkalną i fabryczną dawał wrażenie znużenia i niezmordowanej aktywności.

I taka różnica: sadza z kominów powodowała, że wszystkie gmachy w centrum były po prostu usmolone, a praktyczni mieszkańcy woleli wybierać ubrania w ciemnych kolorach.

Drzewa, posadzone w pobliskich parkach, jakoś nie chciały rosnąć.

PREZENTACJA

Sprawały kłopoty.

Były niewyuczalne.

Młode robotnice.

Wierzyły we wszystko, co słyszały od fabrycznych naganiaczy wieczorami na wsi.

Resztę dopowiadała wyobraźnia. Od tej chwili trudno im było wysiedzieć w gospodarstwie rodziców.

Zupełnie na jawie śniły o Łodzi komornice – wioskowy plebs, bezrolne wyrobnice. Już na wsi wyrzucone poza nawias społeczności, pozbawione udziału w wyścigach gospodyń – która szybciej, która ładniej, która czystiej, która zdrowiej.

Zbierały skromny rynsztunek: wełnianą chustę w kratkę – prawdziwy majątek,

i co tam jeszcze było. Po przyjeździe do miasta udawały już od dawna zadowolone, zorientowane. Pierwsze wypłaty – spłata długów, kolejne – nareszcie: drukowane (jak pisało dawniej – „liche”) perkaliki na modną sukienkę, już „łódzką”, tandetna biżuteria. Jedzenie?

Trochę się oszczędzi.

Marzły w nowych ubraniach.

Nie wiedziały, że wychodzi się na spacer. Na wsi były cały czas na dworze.

A gruźlica płuc? Mogła poczekać jeszcze kilka tygodni, miesięcy. Nic dziwnego, że przychodziła, była przecież nazywana „złodziejem młodości” i „cementarnym kaszlem”. Wystarczył siewca i spadek odporności. Gruźlica miała czas.

A one?

Wolną niedzielę na paradowanie po Piotrkowskiej.

Te, które miały więcej szczęścia – kogoś z rodziny w Łodzi, może starszą siostrę.

WYSTĘP CZYLI PORAŻKA

I tu zaczyna się historia z tortem. Nie, nie będzie przepisu. Ani linku do przepisu.

Śladem jest regulamin odwiedzin w Szpitalu Anny Marii dla Dzieci, nazywanym przez łodzian ciepło „Szpitalikiem”, czasem nawet „naszym Szpitalikiem”. Regulamin ten znajduje się w wydawnictwie pamiątkowym z 1930 r. (dwudziestopięciolecie istnienia Szpitala), przygotowanym przez ówczesnego dyrektora (w latach 1923-1939), doktora Tadeusza Mogilnickiego. Dzieci mogły być odwiedzane przez rodzinę tylko raz w tygodniu, w niedzielę, podkreślono zakaz przynoszenia żywności.

Zdarzało się niestety, że dziecko, wyleczone z zagrażającej życiu biegunki, zostało nakarmione przez odwiedzających ciężkostrawnymi przysmakami, słodkami, w tym wspomnianym tortem. Przypuszczam, że na pomysł przyniesienia efektownego deseru, w formie przechowanego od wczoraj, oczywiście bez lodówki, kawałka tortu, mogła wpaść raczej młoda ciocia, niż rodzice dziecka. To tylko moje przypuszczenie.

Lepiej nie myśleć o bezsilności lekarzy i pielęgniarek, którzy na co dzień mieli do czynienia z przyjęciami dzieci w skrajnie złym stanie.

Ciocia na pewno chciała dobrze.

Kontrole sanitarne łódzkich placów targowych z przełomu lat 20. i 30. XX w. wykazywały jednoznacznie, że kupującym produkty spożywcze na ogół nie przeszkadzał wszechobecny brud i kurz, trafiający m.in. do naczyń z mlekiem, często stojących na ziemi. Rolnikom oraz sprzedawcom żywności poza sklepami brakowało motywacji do zmian. Po co inwestować, jeśli „handel szedł”?

Na „pocieszenie” mogę dodać, że np. w Holandii opisywano podobne niechlujstwo i bezmyślność.

Odległość pomiędzy drogami, którymi biegło rozumowanie osób, wykonujących zawody medyczne i myśleniem potencjalnych pacjentek („nędza i zacofanie cywilizacyjne”), o których piszę, była niewyobrażalna.

Obie strony dysponowały na szczęście dobrą wolą.

Przecież ciocia naprawdę chciała dobrze.

Określenie: medycyna jest sztuką, może wiele wyjaśnić.

Sztuka polegała na tym, żeby osiągnąć cel, zapisany w tytule tego eseju: sprawić, żeby raczej bezmyślna osoba, młoda robotnica łódzkiej fabryki, poza innymi aspektami swojego życia stała się kobietą w medycynie. Pacjentką, która współ-

Zupełnie na jawie śniły o Łodzi komornice – wioskowy plebs, bezrolne wyrobnice. Już na wsi wyrzucone poza nawias społeczności, pozbawione udziału w wyścigach gospodyń – która szybciej, która ładniej, która czystiej, która zdrowiej.

pracuje i rozumie.

Raczej niewykonalne? Raczej konieczne.

CASTING DO GŁÓWNEJ ROLI

Pozwolę sobie przypomnieć, że „Kropla Mleka” w Łodzi zasadniczo nie budowała swojego autorytetu na śledzeniu Henryka Kwinty przez wynajętego psychopatę Tędlarza, ubranego w przeskalowaną butelkę ze smoczkiem (Juliusz Machulski, Vabank II, czyli riposta, 1984), choć dla wielu widzów te dwie minuty filmu były jedyną okazją do spotkania z zasłużoną instytucją.

Pożartować zawsze można, jednak nazwa: „Towarzystwo Opieki na Matką i Dzieckiem (dopiero dalej) Kropla Mleka w Łodzi” (przyjęta w 1918 r.), pozwala domyślać się, że opiekę zaczynało od matek. Pisano o „szkole matek”, szczególnie w zakresie higieny.

Pamiętajmy, że przede wszystkim należało do środowiska robotniczego kobiety w ciąży a także matki noworodków, niemowląt czy małych dzieci wraz z dziećmi były grupą docelową dla działań „Kropli Mleka” w Łodzi już od 1904 r. (pierwsza taka instytucja na ziemiach polskich).

Najwyższy w Polsce wskaźnik umieralności niemowląt porażał (w 1927 r. wynosił 18,7%), podobnie

jak „antyhigieniczne” warunki życia rodzin robotniczych (mydło należało do produktów objętych rozdawnictwem „Kropli” – daje to wyobrażenie o nędzy, czyli braku wszystkiego).

Kobiety, które otrzymywały wsparcie w roli matki a także instruktaż dotyczący prowadzenia gospodarstwa domowego, miały szansę w przyszłości przekazać umiejętności – elementy nowego stylu życia – nie tylko swoim rodzinom, ale najbliższemu otoczeniu. Kontakty sąsiedzkie w oczywisty sposób przypominały relacje na wsi. Tu kryła się ich główna zaleta – przynależność do zrekonstruowanej społeczności.

Izolacja w mieście stwarzała realne zagrożenia.

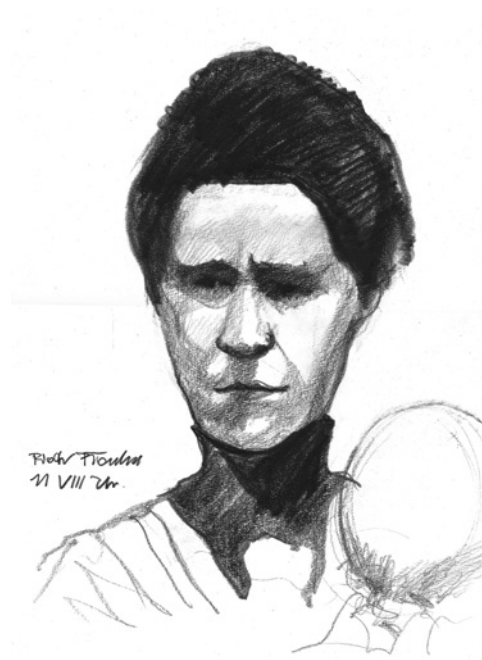
Podobną rolę – liderów higieny – miały spełniać dzieci, hospitalizowane w „Szpitaliku”, które uczyły się m.in. mycia zębów i wietrzenia pomieszczeń. Po powrocie do brudnych, dusznych i zatłoczonych klatek zapewne po raz pierwszy poczuły fatalną różnicę. Zastanawiam się, jak wyglądała walka z dorosłymi o otwieranie okien?

SPACER DLA ŻYCIA

Przyszła pora, aby przypomnieć



Sztuka polegała na tym, żeby osiągnąć cel, zapisany w tytule tego eseju: sprawić, żeby raczej bezmyślna osoba, młoda robotnica łódzkiej fabryki, poza innymi aspektami swojego życia stała się kobietą w medycynie. Pacjentką, która współpracuje i rozumie. Raczej niewykonalne? Raczej konieczne.



drugą część regulaminu odwiedzin w Szpitalu Anny Marii. Matki miały prawo przychodzić codziennie, o ile spędzą czas spotkania z dzieckiem w przyszpitalnym ogrodzie. A oto adres Szpitala: początkowo Szosa Rokicińska, później ulica Rokicińska, obecnie – Al. Piłsudskiego 71, róg. Al. Rydza-Śmigłego. Dzisiaj można sobie jedynie wyobrazić dawne walory klimatyczne okolicy jednego z najbardziej ruchliwych skrzyżowań w mieście...

Przyzwyczajanie matek do spaceru z dzieckiem.

Czy było aż tak ważne?

Niewyobrażalnie ważne, ratujące dzieci przed zahamowaniem rozwoju, kalectwem w przebiegu krzywicy. Wyobraźmy sobie małych pacjentów Szpitala, cierpiących na „chorobę angielską” (relacja z lat 30. XX w.): dzieci trzyletnie o wadze i rozwoju półrocznych niemowląt, nie potrafiły jeszcze siedzieć, nie wspominając o mówieniu.

Masowe występowanie awitaminozy skłoniło europejskich pediatrów do przypuszczenia, że przyczyną dramatycznych zaburzeń było... zakażenie nieznanym patogenem.

Niestety praca w fabryce uniemożliwiała kobietom karmienie piersią, ale jeśli dziecko dostawało w zamian rozcieńczone mleko krowie i to, przy dużej dawce szczęścia – bezpieczne bakteriologicznie - wystarczało już tylko jedno.

Spacer wypisany na receptę. Przećwiczony przez mamę w ogrodzie Szpitala.

DLACZEGO „KROPLA” NIE BYŁA NUDNA

Na czym polegał fenomen „Kropli Mleka” na tle innych instytucji charytatywnych, których działania wynikały z sytuacji bytowej najliczniejszej grupy mieszkańców Łodzi – robotników? Na konsekwencji. Niezbędnej w procesie wychowawczym.

Po każdej wizycie matki i dziecka w stacji „Kropli Mleka” nieuchronnie i konsekwentnie w mieszkaniu kobiety pojawiała się pielęgniarka z tej instytucji, nazywana „Kroplanką”. Oceniała potrzeby, uczyła: zamiatać i utrzymywania porządku, kąpiele i przewijania dziecka, prawidłowego karmienia, uczyła wszystkiego. Popołudniami organizowano dla matek dodatkowe spotkania, m.in. naukę samodzielnego szycia dziecięcych ubranek (za pomocą gotowych szablonów na przygotowanych tkalinach).

Nawet w najczarniejszych chwilach Wielkiego Kryzysu, gdy znacznie spadła liczba zatrudnio-

Pamiętajmy, że przede wszystkim należące do środowiska robotniczego kobiety w ciąży a także matki noworodków, niemowląt czy małych dzieci wraz z dziećmi były grupą docelową dla działań „Kropli Mleka” w Łodzi już od 1904 r. (pierwsza taka instytucja na ziemiach polskich).

nych w „Kropli Mleka” pielęgniarek, zachowano skuteczność systemu: wizyta w stacji – wizyta pielęgniarki.

Celem Towarzystwa była profilaktyka, m.in. monitorowanie rozwoju dzieci, propagowanie karmienia piersią, dbanie o dostęp do zdrowego mleka krowiego, dostęp do mleka kobiecego – na receptę lekarską – w celu zmniejszenia śmiertelności małych podopiecznych. Trudno tu zmieścić wszystkie aspekty i sposoby oddziaływania „Kropli” na beneficjentów.

Oczywiste jest to, że wszyscy znali jidysz. Inaczej za nic w świecie nie mogliby zebrać wywiadu od części pacjentek.

Tymczasem wiele młodych matek przychodziło do przychodni „Kropli” jedynie, gdy dziecko zachorowało. Zamiast oceny i wsparcia prawidłowego rozwoju dziecka, lekarki i lekarze w stacjach (poradniach) decydowali o odpowiednim leczeniu, nie pozostawiając dziecka bez najpilniejszej pomocy. Następująca po poradzie lekarskiej wizyta domowa pielęgniarki przywracała właściwy kontekst oddziaływania na życie młodej matki i jej dziecka: pomimo iż wizyta w stacji dotyczyła dziecka chorego, kontynuacja umożliwiała oddziaływanie profilaktyczne, wychowawcze.

Kształtowano nowe nawyki, młode kobiety nabywały pewności siebie, właściwszych wyobrażeń o zdrowym stylu życia, w miarę możliwości. I zaskakującą świadomość, że ich sprawy kogokolwiek interesują, że to nie wszystko jedno, jak żyją.

Dla wielu z nich było to całkowicie nowe doświadczenie. Mogły przekazać je dzieciom.

Mogły stać się nawet autorytetem w swoim środowisku.

Wiedziały, jak powinny postępować, żeby było dobrze.

Relacje z pielęgniarką, z lekarkami i lekarzami „Kropli Mleka” pomimo dystansu miały delikatny smak przyjaźni.

W GŁÓWNEJ ROLI

Na finał: anegdota, opowiedziana przez jedną z matek. Żydówkę z Bałut.

Kilkuletni synek był świadkiem parady oddziału ochotniczej straży pożarnej na Piotrkowskiej. Mosiężne hełmy, pięknie wypolerowane, błyszcząły złotem.

Po powrocie do domu, najbliższy marzeniom okazał się ceramiczny nocnik, żółciutki jak trzeba. Jako nakrycie głowy miał jednak pewne wady. Pasował trochę za bardzo.

Pomimo biedy, matka wpakowała swojego bohatera do dorożki, z pełnym przekonaniem, że jest takie miejsce w Łodzi, gdzie uzyska pomoc. „Szpitalik”.

Niezależnie od tego, jakim językiem porozumiewali się w swoich domach, mieli dostateczny powód, żeby wspólnie pracować.



MATKI Z DZIEĆMI PRZED STACJI KROPLI MLEKA OK. 1910 R., ŁÓDŹ
FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI

Ci sami ludzie pracowali w stacjach „Kropli Mleka”.

Oczywiste jest to, że wszyscy znali jidysz. Inaczej za nic w świecie nie mogliby zebrać wywiadu od części pacjentek.

Niezależnie od tego, jakim językiem porozumiewali się w swoich domach, mieli dostateczny powód, żeby wspólnie pracować.

Żeby chociaż czasem zobaczyć, że młoda robotnica nie kuli się tak, jak na początku.

A jeśli czegoś nie będzie pewna, to może zapyta.

PIŚMIENNICTWO (WYBRANE POZYCJE):

- Choroby dzieci, t. 1, pod red. W. Jasińskiego, Warszawa 1936; t. 2, pod red. W. Jasińskiego, M. Michałowicza, Warszawa 1938; t. 3, pod red. W. Jasińskiego, M. Michałowicza, Warszawa 1940.
- Łódź. Dzieje miasta, monografia pod red. R. Rosina, tom pod red.: B. Baranowskiego, J. Fijałka, t. 1: do 1918 r., Warszawa-Łódź 1988.
- Mogilnicki T., Dwudziestopięciolecie Szpitala Anny Marji dla Dzieci w Łodzi 1905-1930, Łódź 1930
- Pamiętnik Towarzystwa „Kropla Mleka” w Łodzi 1904-1926, Łódź (bez datacji)
- Sprawozdanie Towarzystwa Opieki nad Matką i Dzieckiem Kropla Mleka w Łodzi za rok 1935/1936, Łódź 1936.
- Sprawozdanie Towarzystwa Opieki nad Matką i Dzieckiem Kropla Mleka w Łodzi za rok 1937/1938, Łódź 1938.
- Sprawozdanie z działalności Towarzystwa Opieki nad Matką i Dzieckiem Kropla Mleka w Łodzi w roku budżetowym 1938/39, XXXV rok istnienia, Łódź (bez datacji)
- Szpital Anny Marii w Łodzi. Zaslugi dla pediatrii, pod red. M. Gołębiowskiej, Łódź 2005.



GDY ŁÓDŹ STAŁA SIĘ CAŁYM ŚWIATEM – HENRYKA FRENKEL (1880-1939)

dr Maria Biegańska-Płonka

Uniwersytet Medyczny w Łodzi



DR HENRYKA FRENKLOWA
I DR JÓZEF KON,
FRAGMENT FOTOGRAFII Z 1910 R.
FOT. ZBIORY AUTORKI

Pierwsza w Łodzi Pani Doktor, kierująca oddziałem szpitalnym dla niemowląt (1916-1939).

Odebrała najbardziej staranne wykształcenie spośród lekarek Szpitala Anny Marii.

Piękna w sposób budzący szacunek.

Zasłużyła na więcej, niż epitafium.

ZACZYNAJĄC OD NAJTRUDNIEJSZEGO

Henryka z Rozenblatów Frenklowa.

Zmarła śmiercią samobójczą. Wspólnie z córką zażyła truciznę w grudniu 1939 roku.

Ciężka zima, pierwsza zima niemieckiej okupacji, odbierała nadzieję.

Brak żywności i opału, żeby choć trochę ogrzać pokój w obcym mieszkaniu na Bałutach.

Zbyt krótkie chwile ulgi przy kaloryferze, gdy stróż wpuszczał ją do sieni reprezentacyjnej kamienicy, w której jeszcze niedawno mieszkała.

Pani Doktor miała znajomych i przyjaciół, także wśród Polaków i Niemców łódzkich.

10 grudnia 1939 roku zapadła ostateczna decyzja o utworzeniu getta (tajny projekt - okólnik prezydenta rejencji kaliskiej Friedricha Übelhöra). Przypuszczam, że echa powstania tego dokumentu mogły dotrzeć do niej, odzierając z iluzji.

Tym bardziej, że tego dnia dyskutowano działalność tzw. departamentu zdrowia w ramach „samorządu” żydowskiego. Niemcy obiecywali zwrot zagrabionego sprzętu medycznego, pozostawionego m.in. w gabinetach lekarskich. Kto uwierzył?

Kiedy znika znany świat, można ucześcić się kłamstwa, choć na chwilę.

Akurat ona wołała zawsze prawdę.

Wygląda na to, że w pewnym stopniu potrafiła przewidzieć to, co miało nastąpić.

Może ktoś zaproponował, że je przechowa. I odmówiła.

A może istniała szansa przechowania tylko jednej osoby?

Twarz Henryki była zaprzeczeniem tzw. dobrego wyglądu, a Łódź to nie Warszawa.

Tutaj wszyscy się znali.

Ostatecznie, kiedy Niemcy rozpoczną tworzenie getta (8 lutego 1940), a później je zamkną (30 kwietnia 1940), okaże się, że ucieczka stamtąd nie była realna.

Z dwóch powodów: powierzchnię „strefy zamieszkałej przez Żydów” tworzyły trzy, oddzielone od siebie części a poza tym getto było szczelnie zamknięte – sieć wodociągów i kanalizacji nie objęła przed wojną Bałut ani Starego Miasta.

Logiczne wydaje się, że Henryka miała kontakt z doktorem Ludwikiem Gundlachem (1882-1941), o którym wiadomo, że w późniejszych miesiącach wojny uczestniczył w ratowaniu żydowskich dzieci. We wrześniu 1939 roku ukrywał się przecież w jednym z łódzkich szpitali, udając pacjenta. Nie zdecydował się na emigrację, chociaż wiedział, że jego nazwisko widnieje na niemieckich listach proskrypcyjnych. Był znaną osobą w Łodzi, niejednokrotnie okazał się liderem. Niebezpieczny dla Niemców ze względu na działalność niepodległościową w czasie I wojny światowej oraz zasługi ojca, pastora kościoła augsbursko-luterańskiego Rudolfa Gundlacha (zm. 1922).

Na początku II wojny światowej doktor Ludwik Gundlach mógł być, podobnie jak Henryka Frenklowa, już trochę zmęczony. Po śmierci Julii (zm. 1935), żył z przyzwyczajenia.

Nie chcę przygotować epitafium na marmurze. Nie ma sensu, żeby okoliczności śmierci Doktor Frenklowej przesłoniły wszystko, co działa się wcześniej.

Ostatecznie, kiedy Niemcy rozpoczną tworzenie getta (8 lutego 1940), a później je zamkną (30 kwietnia 1940), okaże się, że ucieczka stamtąd nie była realna.

Jej grób na Cmentarzu Żydowskim na Brackiej jest oznakowany, można odnaleźć to miejsce.

Nie przeszła przez komin, nie widziała scen z życia i likwidacji getta.

PORTRET W BIELI

Trzydziestoletnia lekarka. Parowóz energii. Otwierały się przed nią kolejne drzwi i drogi.

Urodziła się w Turku – podkaliskim sztetl. Położonym nad dopływem rzeki Kiełbaski.

Córka Szulema Rozenblata i Rywki z Pińczowskich.

Ludność miasteczka liczyła, według danych późniejszych o dziesięć lat, 7563 osoby, spośród których 1994 – to turkowscy Żydzi.

Okolo 1880 roku w Turku klekotało, pracując przez całą dobę, kilkaset warsztatów tkackich. Zakłócały odpoczynek swoim właścicielom (a właściwie zakładnikom) w ich własnych izbach. Większość tkaczy pochodziła z Czech i Saksonii.

Trudno się dziwić, że opowiadana przeze mnie historia przypomina stukot warsztatu tkackiego, na którym drogi życia różnych osób splatają się tak, że nie można ich rozdzielić.

Pastorem turkowskiego zboru ewangelicko-augsburskiego i superintendentem diecezji kaliskiej był



DOKTOR LUDWIK GUNDLACH
FOT. ZBIORY AUTORKI



JULIA Z NIETZÓW GUNDLACHOWA
FOT. ZBIORY AUTORKI



ANNA TEICHMANN, PRZEŁOŻONA
PIELĘGNIAREK ORAZ OSOBA
ODPOWIEDZIALNA ZA
ADMINISTRACJĘ SZPITALA ANNY MARII
FOT. ZBIORY AUTORKI

wtedy Karol Ludwik Teichmann (1826-1890). Henryka miała poznać w Łodzi jego córkę, Annę, jako przełożoną Szpitala Anny Marii.

Bezkompromisowa, żelazna organizatorka życia Szpitala, jego administratorka, była rygorystyczna także w sprawach swojego życia osobistego. I pielęgniarek.

Uważała, że jej praca wyklucza inne zobowiązania.

Szpital funkcjonował znakomicie.

Na zdjęciu z młodości widać rezułtną osobę, emanującą ciepłem.

Kiedy Szpital Anny Marii stanie się „nur für Deutsche”, Niemcy wyrzucą ją z pokoju służbowego, który był domem Anny od trzydziestu pięciu lat.

Stara, śmiertelnie chora, nie podpisze volkslisty. Przygarnie ją koleżanka.

EDUKACJA

Rodzina Rozenblatów przenosi się w kolejnym roku (1881) do Warszawy. Tu życie zaczyna biec od sukcesu do sukcesu.

Po ukończeniu rosyjskiego gimnazjum państwowego ze złotym medalem (1897), Henryka wyjeżdża na studia do Genewy.

Zgodnie z żywą średniowieczną tradycją uniwersytecką, jako przyszła studentka medycyny, musi najpierw uzyskać stopień bakałarza (bakalaureat) z przedmiotów przyrodniczych

(1901). Etap ten odpowiada dawnemu wydziałowi sztuk wyzwolonych.

Wynik: „z najwyższą pochwałą”.

Były to oczywiście studia w języku francuskim.

Po roku przerwy (jak widać – „gap year” wcale nie jest nowoczesnym rozwiązaniem czy wybrykiem!) rozpoczyna właściwe studia lekarskie, które kontynuuje w Berlinie, następnie w Zurychu. Studia kończy w Berlinie (1907), uzyskując stopień doktora medycyny na podstawie rozprawy „O wpływie chlorku sodu i dwuwęglanu sodu na wydzielanie soku żołądkowego”.

Doktorat nauk medycznych „w pakiecie” z tytułem zawodowym lekarza to ówczesny standard akademicki.

Warto opisać okoliczności, w jakich wtedy absolwenci wydziałów lekarskich na uniwersytetach Zachodu uzyskiwali nostryfikację dyplomów. Umożliwiająca podjęcie pracy lekarza w zaborze rosyjskim. Henryka zdobyła te uprawnienia w Kazaniu (1908). Dumnie brzmiąca „nostryfikacja” oznaczała rok „wycięty z życiorysu”, podczas którego absolwentka studiów medycznych w najlepszych ośrodkach akademickich musiała podzielić się tajnikami wiedzy teoretycznej i praktycznej z lekarzami w mieście, które dziś jest stolicą... Tatarstanu.

Nie ukrywam, że chciałabym już dotrzeć, pisząc ten tekst, do etapu, na którym Henryka podjęła pracę pediatry w Łodzi.

Została „tylko” informacja o specjalizacji (bakteriologia – Kraków, Paryż oraz pediatria – Paryż, Berlin) w latach 1908-1913.

A w kolejnym roku (1913-1914) – podróż naukowa

*Trzydziestoletnia lekarka.
Parowóz energii.
Otwierały się przed nią
kolejne drzwi i drogi.*

po słynnych klinikach chorób dzieci w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych.

DRZWI SIĘ OTWORZYŁY I ZAMKNĘŁY – O TYM, ŻE TRUDNO BYĆ W TRZECH MIEJSCACH RÓWNOCZEŚNIE

Henryka okazała się po prostu za dobra.

Na jakie stanowisko była planowana, kiedy zdobywała – perfekcyjne - wykształcenie?

Dyrektora dużego szpitala dziecięcego? A może był to początek „szybkiej ścieżki” naukowej?

Znalazłam krótką notkę o tym, że w 1913 r. po raz pierwszy profesurę w Niemczech nadano lekarce, Racheli Hirsch. Była to osoba zatrudniona w klinice internistycznej w Berlinie.

Przedwojenne łódzkie szpitale miały status ośrodków prowincjonalnych. Brak uniwersytetu z wydziałem lekarskim przekreślał możliwość awansu naukowego powyżej stopnia doktora, który trzeba było „przywieźć” spoza Łodzi.

Spróbuję uporządkować wydarzenia.

Henryka Rozenblatówna po ukończeniu studiów pracowała przez rok

w Szpitalu Anny Marii w roli tzw. lekarza miejscowego (1908), inaczej interna.

Istniały ściśle sprecyzowane zasady regulujące życie codzienne podczas tej ekstremalnej wersji stażu podyplomowego.

Specyfika stanowiska polegała na całkowitej dyspozycyjności.

Mieszkanie służbowe na terenie szpitala, zakaz wyjścia przed godziną 15.00.

Lekarz miejscowy nie mógł prowadzić prywatnej praktyki w mieście, ponieważ każdą wolną chwilę powinien był poświęcić na samokształcenie w zakresie diagnostyki laboratoryjnej oraz studiowanie bieżącego piśmiennictwa.

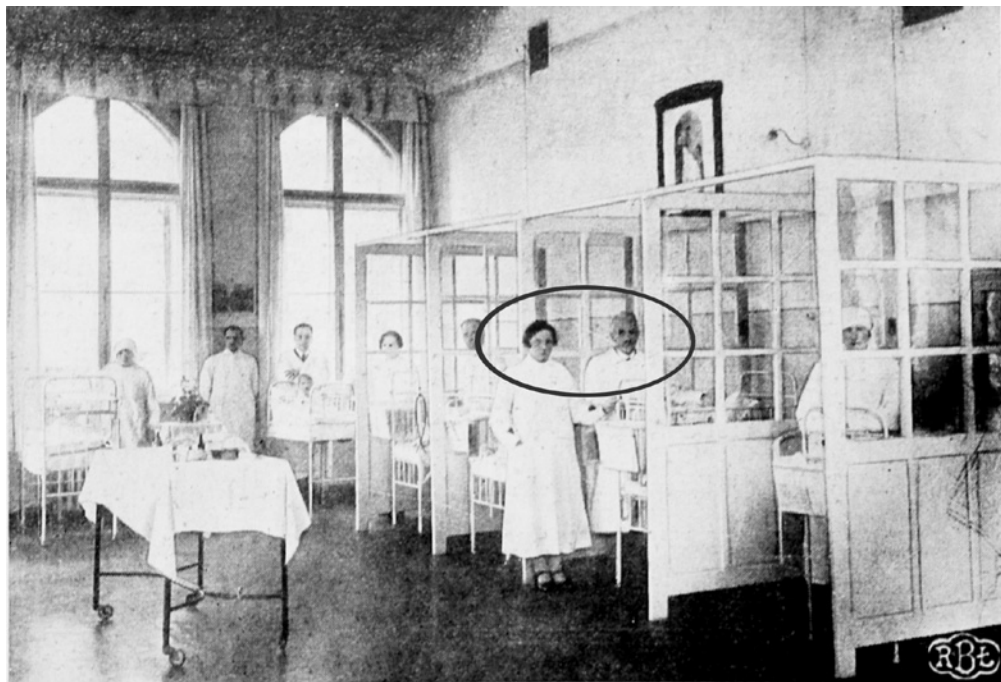
Henryka w czasie pracy miała okazję poznać Józefa Brudzińskiego – twórcę i lekarza naczelnego Szpitala, przyszłego pierwszego rektora Uniwersytetu Warszawskiego.

Lekarz miejscowy nie mógł prowadzić prywatnej praktyki w mieście, ponieważ każdą wolną chwilę powinien był poświęcić na samokształcenie w zakresie diagnostyki laboratoryjnej oraz studiowanie bieżącego piśmiennictwa.

WTRĄCENIE

Życzliwym i wiernym współpracownikiem Henryki był doktor Józef Kon. Widać go na pierwszym znanym mi zdjęciu grupowym pracowników Anny Marii z 1910 r. (pożegnanie doktora Józefa Brudzińskiego) obok Henryki. Także na zdjęciu, słabej jakości, sprzed października 1930 roku (w publikacji na 25-lecie Szpitala) – sfotografowano ich razem, dokumentując wygląd oddziału niemowlęcego.





DR H. FRENKLOWA I DR JÓZEF KON W BOKSIE DLA NIEMOWLĄT (1930 R.)
FOT. ZBIORY AUTORKI

W 1937 ukazał się numer jubileuszowy Warszawskiego Czasopisma Lekarskiego, zadedykowany Doktor Henryce Frenklowej przez jej współpracowników, z okazji trzydziestolecia pracy lekarskiej.

Numer czasopisma otwiera życiorys i spis publikacji jubilatki. Przygotowany przez doktora Kona.

Na okładce – zdjęcie osoby zdruzgotanej, w czerni.

KIEDY NIE MOŻNA ŻYĆ W WIELKIM ŚWIECIE, WARTO PO PROSTU ZAPROSIĆ ŚWIAT

Okazuje się, że Henryka była dwukrotnie promowana przez doktora Józefa Brudzińskiego. Chciał powierzyć jej stanowisko ordynatora oddziału niemowlęcego w Szpitalu Karola i Marii (Szlenkierów) w Warszawie (początek zamierzenia – 1908, otwarcie – 1913).

Kolejna propozycja to stanowisko dyrektora szpitala dziecięcego im.

Konstadtów (obecnie im. Wł. Biegańskiego).

Za drugim razem okazało się, że to pechowe przedsięwzięcie.

Pilniejsza okazała się walka z bardzo niebezpiecznymi chorobami zakaźnymi, fundatorzy mieli kłopoty finansowe.

Sufit jednak okazał się szklany.

Doktor Brudziński był naprawdę rozgoryczony.

W artykule, zamieszczonym w „Gazecie Lekarskiej” z 1914 roku, pozwolił sobie na dość rozbudowany komentarz (w formie ogólnych zaleceń) na temat prawidłowych kontaktów lekarzy jako zespołu w szpitalu, właściwej postawy lekarza naczelnego, relacji z internami. Dla osób zatrudnionych w Szpitalu Anny Marii oraz Szlenkierów w latach 1908-1914, personalia były czytelne.

Dla mnie już, niestety, nie.

Paradoksalnie, ktoś na tym rzeczywiście skorzystał.

Na niepowodzeniach zawodowych Doktor Frenklowej zyskali najsłabsi pacjenci.

Tak nieważni, że nawet nie przewidziano dla nich łóżek szpitalnych, kiedy do Anny Marii przyjmowano pierwsze dzieci (listopad 1905).

Niemowlęta.

Jak napisał doktor Kon, Henryka „musiała zadowolić się” niewielkim oddziałem niemowlęcym

Na niepowodzeniach zawodowych Doktor Frenklowej zyskali najsłabsi pacjenci. Tak nieważni, że nawet nie przewidziano dla nich łóżek szpitalnych, kiedy do Anny Marii przyjmowano pierwsze dzieci (listopad 1905). Niemowlęta.

w Szpitalu dla Dzieci w Łodzi. Skoro nie mogła prowadzić działalności klinicznej i naukowej na ekspozowanym stanowisku, angażowała się w takim samym stopniu, choć jej praca wydawała się bardziej „zwykła”.

Bilans lat 1914-1939 to:

- stworzenie wzorcowego oddziału niemowlęcego na poziomie kliniki (od 1916)
- twórczość naukowa, wynosząca ponad 40% ogółu publikacji naukowych Szpitala
- inicjatywa w zakresie stworzenia nowoczesnej, scentralizowanej kuchni mlecznej dla potrzeb Kropli Mleka (otwarcie planowano na jesień 1939)
- organizacja Zjazdu Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego w 1935 roku (Sekretarz Zjazdu)
- planowanie jadłospisu dla małych pacjentów – zgodnych z najnowszymi osiągnięciami dietetyki i smacznych (!)
- organizacja i prowadzenie biblioteki dla lekarzy, prenumerata najważniejszych czasopism polskich i zagranicznych.

Na pewno o czymś zapomniałam.

Zdążyła jeszcze założyć rodzinę i mieć dwoje dzieci.



RYS. PIOTR PŁONKA

To właśnie ta chwila, w której chcę się zatrzymać. I popatrzeć na zdjęcie, datowane na tysiąc dziewięćset trzydziesty rok. Doktor Henryka Frenklowa stoi obok swojej zastępczyni, Simy Samet-Mandelsowej, na tarasie, który nazywano „leżalnią” dla małych pacjentów. Stoją obok siebie. Uśmiechają się, pewne siebie, zaprzyjaźnione kobiety. Mają wspólne, ważne sprawy i patrzą z delikatną wyższością. Stop.

PIŚMIENNICTWO:

- Mogilnicki T., Dwudziestopięciolecie Szpitala Anny Marji dla Dzieci w Łodzi 1905-1930, Łódź 1930.
- Fijałek J., Indulski J., Opieka zdrowotna w Łodzi do roku 1945, Łódź 1990.
- Ziegler A., Die Heimat vertriebenen, Glenwood, Iowa, USA 1962.
- Biegańska-Płonka M., Doktor Ludwik Gundlach (1882-1941) i Julia z Nietzów Gundlachowa (1888-1935) – społecznicy i patrioci związani ze Szpitalem Anny Marii dla dzieci w Łodzi, Ped.Pol. 2010, T. 85, Nr 6, s. 646-651.
- Szpital Anny Marii w Łodzi. Zaslugi dla pediatrii, pod red. M. Gołębiowskiej, Łódź 2005.
- J. Kon, Dr Henryka Frenklowa, W 30-ą rocznicę działalności lekarskiej, Warszawskie Czasopismo Lekarskie 1937, t. 16, nr 23-24, s. 431-432.
- A. Kempa, M. Szukalak, Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny, t. 3, Łódź 200
- <https://muzhp.pl/pl/e/124/utworzenie-getta-lodzkiego>
- Przegląd Lekarski oraz Czasopismo Lekarskie 1913, 1914



DOKTOR HENRYKA FRENKLOWA I SIMA SAMET-MANDEL
FOT. ZBIORY AUTORKI

KOBIETY W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ. ŁÓDŹ I REGION ŁÓDZKI.

Sylwia Wielichowska

Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi



ŚMIERĆ KOBIETY-BOHATERKI,

Rozważania poświęcone walkom o niepodległość często sprowadzają się do opisów zaangażowania powstańczego i militarnego. Bez wątpienia był to rodzaj aktywności zdominowany przez mężczyzn. Konsekwencją tych narracji może być zatem przekonanie, że działalność narodowowyzwoleńcza była prowadzona tylko przez połowę społeczeństwa – przez mężczyzn właśnie.

I chociaż historycy zajmujący się okresem zaborów zwracają uwagę, że zagadnienie to należy postrzegać w szerszym kontekście – uwzględniając chociażby w refleksji o formach oporu przeciw zaborcy także organizacje tajnego nauczania, w którym prym wiodły kobiety – to jednak w powszechnym przekonaniu dominuje postrzeganie walki niepodległościowej głównie przez pryzmat działań zbrojnych. Na początku należałoby zatem podkreślić, że zdominowanie działalności spiskowo-militarnej przez mężczyzn, wynikało nie tyle z różnych predyspozycji fizycznych obu płci, lecz było w znacznej mierze zdeteminowane przez czynniki obyczajowe. Warto bowiem zwrócić uwagę, że rozważania o zaangażowaniu kobiet w dążenia narodowowyzwoleńcze, bez uwzględnienia tego jaka była ich sytuacja społeczna i prawna, i jak była postrzegana ich rola w społeczeństwie, byłoby niepełne i przedstawiało niekompletny obraz rzeczywistości.

Podejmowanie przez kobiety działań niepodległościowych było utrudnione przez fakt, że nie miały one możliwości samostanowienia o sobie – prawnie jako córki były podporządkowane ojcom, zaś jako żony – mężom. Druga połowa XIX w. jest okresem kiedy starają się wywalczyć dla siebie prawo do decydowania o sobie i uniezależnić się od woli mężczyzn. Symptomatyczny dla warunków panujących na ziemiach polskich pozostaje fakt, że chociaż emancypantki na przełomie XIX i XX wieku zaczęły upominać się o prawa kobiet we wszystkich sferach życia, to sprawą priorytetową pozostawała cały czas walka narodowowyzwoleńcza i powstanie niepodległego państwa polskiego. Dlatego też trudno czasem przeprowadzić linię demarkacyjną między inicjatywami podejmowanymi przez kobiety w imię równouprawnienia, a tymi, które wynikały z zaangażowania dla sprawy niepodległościowej.

Na wstępie zazaczyłam, że działalność spiskowo-powstańcza była głównie domeną mężczyzn, nie oznacza to jednak, że w ogóle nie partycypowały w niej

kobiety. Pierwszy raz na szerszą skalę kobiety zaangażowały się w nią w okresie powstania styczniowego. Ich aktywność była wieloaspektowa, najczęściej polegała na pełnieniu funkcji kurierek, łączniczek i adiutantek dowódców wojskowych. W opracowaniach podkreśla się, że okoliczność, która umożliwiła kobietom udział w powstaniu na tak szeroką

skalę był jego charakter, który opierał się na walce partyzanckiej (w przeciwieństwie do powstania listopadowego, gdzie walczyły regularne oddziały wojskowe). Pisząc o zaangażowaniu kobiet w zrywie 1863 r. nie sposób nie wspomnieć o Marii Piotrowiczowej, która działała w nielegalnej organizacji narodowej w Łodzi przed wybuchem powstania. W momencie rozpoczęcia powstania styczniowego wraz z mężem i częścią służby z folwarku przystąpiła do operującego w okolicach Łodzi oddziału Józefa Sawickiego, później dowodzonego przez dr Józefa Dworzaczka. Początkowo jej działalność polegała na zbieraniu pieniędzy dla oddziału, zajmowała się też aprowizacją – zakupem broni, żywności, mundurów. 24 lutego 1863 r., kiedy oddział Dworzaczka został zaatakowany przez Rosjan pod Dobrą, nieopodal Strykowa, dołączyła do powstańców i walczyła razem z nimi. Bitwa zakończyła się klęską Polaków. Maria odrzuciła propozycję rosyjskich oficerów poddania się i zginęła, do końca broniąc powstańczego sztandaru. Jej pogrzeb

Druga połowa XIX w. jest okresem kiedy starają się wywalczyć dla siebie prawo do decydowania o sobie i uniezależnić się od woli mężczyzn. Symptomatyczny dla warunków panujących na ziemiach polskich pozostaje fakt, że chociaż emancypantki na przełomie XIX i XX wieku zaczęły upominać się o prawa kobiet we wszystkich sferach życia, to sprawą priorytetową pozostawała cały czas walka narodowowyzwoleńcza i powstanie niepodległego państwa polskiego.



KARTA POCZTOWA UPAMIĘTNIAJĄCA BITWĘ POD RADOSZEWICAMI Z DN. 17 MARCA 1863 R.
FOT. ZBIORY MUZEUM TRADYCJI NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁODZI

odbył się 28 lutego w rodowej siedzibie Piotrowiczów. Z przekazów wiemy jeszcze o trzech kobietach, które zginęły pod Dobrą, Weronice Wojciechowskiej (służącej z Byszew), Antoninie Wilczyńskiej (robotnicy z Łodzi) oraz Katarzynie, której nazwiska nie znamy, i o której nic więcej nie wiemy. W chwili śmierci Maria Piotrowiczowa miała 24 lata, Weronika Wojciechowska – 19 lat, a Antonina Wilczyńska – 20 lat. Najprawdopodobniej śmierć Marii Piotrowiczowej, której okrutny wydzwitek potęgowany był przez fakt, że była w ciąży, miała wpływ na decyzję Rządu Narodowego z 16 kwietnia 1863 r. o zakazie przyjmowania do służby liniowej kobiet. Chociaż trzeba mieć świadomość, że zakaz ten, nie wszędzie był przestrzegany i nierzadko kobiety wykraczały poza funkcje pomocnicze, aktywnie uczestnicząc w walkach.

Inną znaną kobietą zaangażowaną w powstanie styczniowe w regionie łódzkim była Walentyna z Osińskich Niemojowska, o której jednak wiemy bardzo niewiele. Była adiutantką gen. Edmunda Taczanowskiego, a do historii przeszła po bitwie pod Radoszewicami i Kiełczygłowem koło Osjakowa, która miała

miejsce 27 marca 1863 r. Uratowała wówczas powstańczy sztandar, wyrwując go z rąk śmiertelnie ранego kosyniera. Ten bohaterski czyn odbił się głośnym echem na ziemiach polskich, trafiając także do Polaków będących na emigracji, o czym świadczą noszone w Dreźnie przez Polki paski z klamrą, na której widniało popiersie Niemojowskiej.



WANDA ŁADZINA

FOT. ZBIORY MUZEUM TRADYCJI
NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁÓDZI

Jak wspominałam edukacja była jednym z głównych obszarów aktywności kobiet – w tradycyjnym podziale ról piastowały one stanowisko opiekunek domowego ogniska, były zatem odpowiedzialne za utrzymanie polskiej kultury i tożsamości narodowej. Miały tak wychować młode pokolenia, żeby były one gotowe do walki o niepodległą Polskę. Kobiety były zaangażowane w działalność oświatową we wszystkich trzech zaborach. W zaborze rosyjskim począwszy od lat osiemdziesiątych XIX wieku rozbudowała się sieć tajnych polskich szkółek elementarnych, funkcjonowały one również w Łodzi. Ich działalność została od 1906 r. przejęta przez Polską Macierz Szkolną. Łódź miała jednak swoją specyfikę – w XIX w. było to miasto bez ugruntowanej tradycji, niewyrobinie kulturalnie i charakteryzujące się jaskrawymi podziałami. Pomimo rozwijającego się szkolnictwa żeń-

skiego, w 1897 r. czytać i pisać potrafiło zaledwie tylko 35-36% Polek, przy czym analfabetyzm był najbardziej dotkliwy w rekrutującym się z ludności wiejskiej, środowisku robotniczym. Niemniej to właśnie w Łodzi z inicjatywy Zofii Bader-Libiszowskiej powstała w 1906 r., jako jedyna w Królestwie Polskim placówka, która poprzez odpowiedni program nauczania była w stanie przygotować słuchaczki do studiów wyższych. I chociaż na przełomie XIX i XX w. sytuacja kobiet z inteligencji w Łodzi była trudna, to zaczynały one powoli odgrywać coraz większą rolę zarówno w życiu kulturalnym miasta, jak i działalności charytatywnej.

Kobiety w Łodzi nie pozostały bierne także podczas rewolucji 1905 r. Chociaż przeważnie nie znamy ich personaliów, wiemy, że zaangażowały się wówczas prawie we wszystkie formy działalności rewolucyjnej, m.in. pisały odezwy, były odpowiedzialne za kolportaż podziemnej prasy oraz broni, uczestniczyły w manifestacjach i akcjach politycznych. Niektóre zostawały członkiniami organizacji bojowych, m.in. Organizacji Bojowej PPS. Podobnie włączyły się w działania niepodległościowe poprzedzające wybuch I wojny światowej, a także działania w latach 1914-1918 r. Jedną z takich kobiet była Janina Żyżniewska (z d. Jezierska), która w ramach współpracy z Polską Organizacją Wojskową m.in. przewoziła i ukrywała broń, meldunki oraz korespondencję. Za swoją działalność została odznaczona w 1927 r.

Kobiety w Łodzi nie pozostały bierne także podczas rewolucji 1905 r. Chociaż przeważnie nie znamy ich personaliów, wiemy że zaangażowały się wówczas prawie we wszystkie formy działalności rewolucyjnej, m.in. pisały odezwy, były odpowiedzialne za kolportaż podziemnej prasy oraz broni, uczestniczyły w manifestacjach i akcjach politycznych.



JANINA ŻYŻNIEWSKA
FOT. ZBIORY MUZEUM TRADYCJI
NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁÓDZI

Krzyżem Legionów, a w 1931 r. – Medalem Niepodległości. W kontekście I wojny światowej warto także wspomnieć o Wandzie Ładzinie, którą wybuch wojny światowej zastał we Francji, gdzie ukończyła kursy pielęgniarskie, a następnie pracowała, jako sanitariuszka w szpitalu polowym. Po powrocie na ziemię polską uczestniczyła w akcji rozbrajania Niemców w Łodzi. W kwietniu 1919 r. założyła tutaj stowarzyszenie społeczno-oświatowe Narodową Organizację Kobiet Polskich i została jego przewodniczącą. W czasie wojny z Rosją prowadziła patrol sanitarny na froncie, pod Radzyminem, a następnie została przydzielona do dowództwa III armii na froncie litewskim. Po zakończeniu pracy szpitalnej, zaangażowała się w akcję plebiscytową na Górnym Śląsku. Po powrocie do Łodzi aktywnie uczestniczyła w życiu politycznym i w 1922 dostała się do Sejmu, z listy Związku Ludowo-Narodowego. Jako parlamentarzystka pracowała w komisjach ochrony pracy, opieki społecznej i inwalidzkiej, zgłaszała poprawki do ustaw socjalnych, które miały na celu zabezpieczenie losu kobiet i dzieci.

Pisząc o zaangażowaniu kobiet w działalność niepodległościową nie sposób nie wspomnieć o ich postawie

w okresie II wojny światowej. Aktywność kobiet z tego okresu, w porównaniu chociażby do czasów I wojny światowej, jest o wiele lepiej udokumentowana i zasługiwałyby w istocie na osobny artykuł. Wiele łódzianek zaangażowało się wówczas w działalność konspiracyjną – wymienię tylko kilka z nich. Jedną była wspomniana już przeze mnie Janina Żyżniewska. Kierowała Biurem Finansów i Kontroli oraz Oddziałem IV – Kwatermistrzowskim w Sztabie Okręgu Łódź ZWZ-AK, a swój dom przy ul. 11 Listopada (obecnie Legionów) udostępniła jako miejsce spotkań i punkt kontaktowy. W specjalnie przygotowanym pokoju na poddaszu ukrywała członków organizacji i kurierów. W pracę konspiracyjną zaangażowani byli również członkowie jej rodziny, m.in. matka, siostry i dwaj synowie. Dwukrotnie aresztowana: w marcu 1941 r. i w lutym 1942 r. Przetrzymana w więzieniu przy ulicy Gdańskiej 13, skąd jesienią 1942 r. trafiła do Auschwitz, gdzie zmarła 4 stycznia 1943 r.

Tragicznie skończyła się także historia Marii Eugenii Jasińskiej (ps. „Pani Aptekarka”, ur. w Łodzi w 1909) Z chwilą wybuchu wojny aktywnie włączyła się w pomoc rannym żołnierzom polskim organizując dla nich zbiórki pieniężne, dostarczając



MARIA EUGENIA JASIŃSKA
FOT. ZBIORY MUZEUM TRADYCJI
NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁÓDZI

papierosy i opatrunki. Przeprowadzała zagrożonych przez granicę do Generalnej Guberni oraz dostarczała lekarstwa uwięzionym w obozie przejściowym przy ul. Łąkowej i innym potrzebującym. W tym okresie nawiązała również kontakt z łódzkim środowiskiem harcerskim i tworzącą się konspiracją. W piwnicy apteki „Pod Łabędziem” przy ul. Wólczańskiej, w której była wówczas zatrudniona, przygotowywała fałszywe dokumenty dla żołnierzy ZWZ zagrożonych aresztowaniem oraz uciekinierów. Zdobywała żywność i wysyłała paczki do obo-

zów jenieckich i łódzkiego getta, a także do obozów koncentracyjnych. W czerwcu 1941 r., w ramach prowadzonej przez ZWZ akcji „Dorsze”, pomogła przekroczyć granicę z Generalną Gubernią trzem oficerom angielskim zbiegłym z obozu w Forcie VIII w Poznaniu. Aresztowana 24 kwietnia 1942 r. (na skutek zeznań złożonych przez Anglików), została skazana na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano 20 kwietnia 1943

na podwórzu więziennym przy ul. Kopernika. W 1944 r. została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Walcznych i Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Jedną z bardziej znanych konspiratorek z Łodzi jest natomiast Halina Szwarc (z d. Kłęb, ps. „Jacek II”). Urodziła się w Łodzi, do wybuchu wojny zamieszkiwała z rodzicami przy ul. Sienkiewicza 95. Rodzina posiadała stosunkowo dobre warunki materialne, stąd Halina mogła uczyć się w jednej z najlepszych łódzkich szkół, Gimnazjum Heleny Miklaszewskiej. Do wybuchu wojny ukończyła to właśnie gimna-

zjum oraz pierwszą klasę liceum przyrodniczego. Gdy w grudniu 1939 (miała wówczas 16 lat) dowiedziała się o powstaniu podziemnej organizacji w Łodzi, udała się do lokalu, w którym odbywały się tajne spotkania i powołując się na swoje koleżanki z Przysposobienia Wojskowego Kobiet prosiła o zaangażowanie w pracę konspiracyjną. Tak też się stało i Halina wstąpiła do ZWZ. Początkowo pełniła rolę łączniczki: przenosiła raporty dotyczące Wehrmachtu, SS i SA, Hitlerjugend, obiektów wojskowych i przemysłowych, nastrojów niemieckiej oraz polskiej ludności cywilnej, w tym wiadomości o represjach okupanta, osobach podejrzanych o współpracę z Niemcami. Z czasem mieszkanie jej rodziców stało się punktem kolportażowym podziemnej gazetki. Na polecenie przełożonych w styczniu 1940 r. rozpoczęła intensywną naukę języka niemieckiego. We wrześniu 1940 r. została przeniesiona do Kalisza, gdzie zakonspirowała się jako uczennica niemieckiej szkoły. W połowie 1940 z polecenia przełożonych z konspiracji wraz z rodzicami złożyła wniosek o volkslistę. W listopadzie 1941 gestapo zatrzymało jej zwierzchnika Wacława Kałużniaka ps. „Jacek I”, który został rozstrzelany 20 marca 1942 r. podczas publicznej egzekucji 100 Polaków w Zgierzu, wówczas



HALINA SZWARC
FOT. ZBIORY MUZEUM TRADYCJI
NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁODZI

Także po II wojnie światowej nie brakło w Łodzi kobiet zaangażowanych w działalność niepodległościową, tych które miały odwagę sprzeciwić się nowej władzy.



FOT. ANDRZEJ WRZESIEŃ
All rights reserved

MARSZ GŁODOWY KOBIEĆ, 30 LIPCA 1981 R.

FOT. ANDRZEJ WRZESIEŃ, MUZEUM TRADYCJI NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁÓDZI

jej przełożonym został płk. Zygmunt Janke „Walter”. W 1942 r. została formalnie jako studentka medycyny, wysłana z misją wywiadowczo-łącznikową do Wiednia. Była kolporterką pism Akcji „N” na teren Rzeszy. Następnie terenem jej działania były północne Niemcy – Brema, Hamburg, Kolonia. W Hamburgu miała za zadanie rozpoznanie systemu obrony przeciwlotniczej miasta i obiektów portowych oraz określenie następstw ataków lotniczych. Dostarczone przez nią informacje alianci wykorzystali podczas bombardowań. Od września 1943 r. pracowała w Centralnym Archiwum Medycyny Wojskowej w Berlinie, gdzie miała dostęp do danych o rannych i zabitych żołnierzach niemieckich. Udało jej się zidentyfikować i podać przełożonym rozmieszczenie wielu jednostek Wehrmachtu na frontach, te informacje trafiały zaś do aliantów.

Z początkiem lutego 1944 r. łódzka organizacja AK została zdekonspirowana. Początkowo Halina uniknęła aresztowania, ponieważ przebywała w Warszawie, kiedy jednak zdecydowała się na powrót do Łodzi, w trzecim dniu pobytu, 23 maja 1944 r. została zatrzymana. Podczas licznych i brutalnych przesłuchań potwierdziła tylko przynależność i udział w działaniach ZWZ. Z wyrokiem śmierci została osadzona w więzieniu dla kobiet przy ul. Gdańskiej 13. Przebywała tam aż do ewakuacji 17 stycznia 1945 r. Z jej inicjatywy w 1975 r. powstał, pierwszy w Polsce Uniwersytet Trzeciego Wieku.

Także po II wojnie światowej nie zabrakło w Łodzi kobiet zaangażowanych w działalność niepodległościową, tych które miały odwagę sprzeciwić się nowej władzy. Wymienię tutaj chociażby – Halinę Piotrowską (pracowała w Komendzie Wojewódzkiej MO w Łodzi i przekazywała organizacji WiN m.in.: odpisy telefonogramów, charakterystyki pracowników MO, rozkazy i instrukcje na teren województwa; aresztowana w listopadzie 1946 r., skazana w czerwcu 1947 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi na karę śmierci), Bronisławę i Helenę Borowskie (członkinie organizacji WiN, aresztowane w listopadzie 1946 r., skazane w czerwcu 1947 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi na karę śmierci).



ALICJA PERZ

FOT. ZBIORY MUZEUM TRADYCJI
NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁÓDZI

wane w listopadzie 1946 r., Bronisława skazana na 10 lat więzienia, Helena – na 8 lat), Alicję Perz (jako uczennica II klasy liceum była inicjatorką utworzenia organizacji „Związek Białej Tarczy”, brała udział m.in. w akcjach dywersyjnych i kolportażu ulotek, aresztowana w czerwcu 1950 r.; skazana na 12 lat pozbawienia wolności) czy Zofię Dwornik (aresztowana w październiku 1950 r., za mówienie prawdy o zbrodni katyńskiej i agresji Związku Radzieckiego na Polskę we wrześniu 1939 r.; skazana na rok więzienia).

Łódzkie kobiety zaangażowały się również w działanie zalegalizowanego w 1980 r. Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Choć trzeba zwrócić uwagę, że także wcześniej pozostawały niepokorne i miały odwagę walczyć o swoje prawa. W Łodzi, tylko w latach 1945-1952 odbyło się 520 strajków. Jeden z większych miał miejsce w 1947 r. w dawnej fabryce Izraela Poznańskiego, w PRL funkcjonującej jako Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego „Poltex”. Zbuntowały się wówczas robotnice, które stanowiły większość załogi, a które zmuszono do obsługiwania większej liczby warsztatów i tym samym, pracy ponad siły. W ramach solidarności do protestu przystąpiły także inne łódzkie zakłady. Ze względu na dużą feminizację łódzkich zakładów przemysłowych można napisać, że ruch strajkowy w Łodzi miał kobiece oblicze. Jednym z najważniejszych strajków, dzisiaj trochę zapomniany, był bunt włókniarek łódzkich z lutego 1971 r., który wybuchł z powodu podwyżek cen wprowadzonych w grudniu 1970 r. Pomimo zmian we władzach partii wymuszonych przez Wydarzenia na Wybrzeżu z grudnia 1970 r. ze wzrostu cen się nie wycofano. Dopiero strajk łódzkich włókniarek zmusił komunistów do ustępstw.

Kolejną inicjatywą, w której łódzkie kobiety były tak inicjatorkami, jak i uczestniczkami, była akcja protestacyjna zorganizowana przez NSZZ „Solidarność” Regionu Łódzkiego w dniach 27-30 lipca 1981 r. Punktem kulminacyjnym protestu był przeprowadzony 30 lipca „głodowy marsz kobiet”, w którym uczestniczyło ok. 50 tys. osób.

W OBIEKTYWIE ZENITA B CZYLI MARSZ GŁODOWY ŁÓDZKICH WŁÓKNIAREK

Z Wojciechem Markosem Markiewiczem
rozmawia Dorota Ceran

Byłeś wtedy uczniem liceum. Były wakacje, a Ty szedłeś sobie ulicą Piotrkowską...

Nie, wcale nie „szedłem sobie” ulicą Piotrkowską, to nie był przypadek. Były wakacje, a przede mną ostatni rok ogólniaka i matura. Wiedziałem, że będzie marsz głodowy włókniarek i wraz z kolegą z klasy, Mariuszem Stasiakiem, który też troszkę fotografował, stwierdziliśmy, że wypadałoby uwiecznić to wydarzenie, bo zapowiada się coś dużego i ciekawego. No i wzięliśmy nasze aparaty i poszliśmy na Pietrynę. Mariusz miał trochę przyzwoitszy aparat, ja fotografowałem dość topornym, ruskim Zenitem B. Któryś z nas miał dodatkowy, dłuższy obiektyw, z którego na zmianę korzystaliśmy. Najpierw poszliśmy w okolice Centralu.

Być może dzisiejszym młodym ludziom to się wyda czymś abstrakcyjnym, ale my wtedy trochę nieswojo się czuliśmy i nie chcieliśmy chodzić z aparatami na widoku, bo baliśmy się, że podejdzie jakiś tajniak, wykręci klisze z aparatu i tyle będzie z naszego fotografowania... Nie byliśmy przecież fotoreporterami zaopatrzonymi w jakiś kwit, który pozwalałby nam tam chodzić między tymi idącymi ludźmi. A przecież władza ludowa wciąż czuwała...

Pewnie młodszymi czytelnikami takie obawy trąca paranoją albo potraktują to jak bajkę o żelaznym wilku, ale naprawdę takie były wtedy czasy. Kilka lat wcześniej, w czasie wakacji byliśmy w Szczecinie. Poprosiłem mamę, by zrobiła mi zdjęcie na tle okrętu desantowego, który wraz z innymi polskimi okrętami wojennymi stał zacumowany przy Wałach Chrobrego. Gdy mama szykowała się, by zrobić mi zdjęcie nagle, jak spod ziemi, pojawił się przy nas antypatyczny tajniak i naprawdę chciał wykręcić film z naszego aparatu! Taka pokręcona była ówczesna rzeczywistość...

Wracając do Łodzi i 1981 roku. Wykombinowaliśmy z Mariuszem, że najlepiej będzie jak przy Roosevelta wejdziemy do jakiejś kamienicy i parę zdjęć zrobimy z okna klatki schodowej. Później, popędziliśmy ulicą Sienkiewicza, wyprzedziliśmy marsz i na wysokości dzisiejszej ul. 6 sierpnia, weszliśmy na Piotrkowską. A tam, nie chcąc robić zdjęć z poziomu ulicy, wprosił się do jakiegoś człowieka, który stał na balkonie, na pierwszym piętrze.



I tak po prostu, obcy ludzie was wpuścili?

Tak, facet wpuścił nas na balkon. I z tego balkonu fotografowaliśmy cały ten marsz. No, może nie cały, bo tylko tak długo, jak mieliśmy klisze w aparatach. Pamiętajmy, to były czasy takie, że miało się 36 klatek na rolce i nic więcej.

Miałeś tylko jedną rolkę?!

Tylko jedną! Wtedy, żeby kupić negatyw, to było... no, nie było to łatwą sprawą. Mało tego, kupowało się to, co akurat było w sklepie, a nie konkretny film, od konkretnego producenta, o konkretnej czułości. Jak pamiętam, te zdjęcia robiłem akurat na jakimś ruskim negatywie. Potem wywoływałem go w teoretycznie nienajgorszym wywoływaczu, R 09 – dla odmiany enerdowskim.

Sam zdjęcia wywoływałeś?

Tak. W tamtym czasie wywoływałem zdjęcia z drugim kolegą z klasy, z Markiem Ogińskim, a odbitki robiłem korzystając z jego powiększalnika, bo swojego jeszcze nie miałem. Sam wywoływałem negatywy, podobnie jak i odbitki. Ale dużo trudniejsze od tego było, jak zdobyć negatywy, odczynniki czy odpowiedni papier fotograficzny... Bo papiery miały różne stopnie gradacji, które dawały mniej lub bardziej kontrastowe odbitki. I w zależności od tego, jak wyszło wywoływanie negatywu, można było próbować coś poprawić dobierając odpowiednią gradację papieru.

Wspominam o tym, bo aparat miałem wtedy na tyle prymitywny, że nie miał żadnego światłomierza. W związku z tym czas i przesłonę musiałem ustawiać „na oko”. I efekt tego był taki, że albo trochę nie doszacowałem światła, albo wywoływacz był już trochę zużyty, bo negatywy wyszły dość blade. W efekcie zdjęcia nie są najlepszej jakości – amatorszczyna nastolatka.

Jesteś perfekcjonistą w tej materii, więc nie bardzo ufam tej ocenie.

Patrząc przez pryzmat moich doświadczeń wieloletniego fotografowania, uznaję je za liche pod względem technicznym i tyle. Na szczęście dzisiejsza technologia, możliwość zeskanowania i obróbki zdjęć w komputerze spowodowały, że wróciłem do tych negatywów i odważyłem się je pokazać ludziom.

Gdybyś robił je dzisiaj, to jakby wyglądały?

Przede wszystkim, na pewno takie wydarzenie znów bym fotografował. Wprawdzie już nie taszczyć ze sobą aparatu jak przed laty, bo smartfony w dużym stopniu zastąpiły klasyczne aparaty – i mówię to jako ktoś, kto trochę pracował jako fotoreporter – smartfon często także daje radę. Ale gdyby dzisiaj taki marsz znowu się zdarzył, to jednak wyciągnąłbym z szafy moją lustrzaną Canonę z „rozsądnym” zoomem. No i pamiętając tamte doświadczenia, chyba jednak postarałbym się o jakiś kwit, żeby móc poruszać się swobodnie między maszerującymi.

Narzekasz na jakość, jednak te fotografie są bardzo wartościowe w kontekście historycznym.

Na pewno. Uwieczniliśmy ogromny tłum ludzi. Dlatego szukaliśmy widoku z góry. Po pierwsze, by tajniakom nie rzucać się w oczy, ale też po to, by móc lepiej pokazać tę masę ludzi idących w marszu głodowym. Choć na początku nie przyszło nam do głowy, że to aż tyle ludzi będzie. Kiedy stanęliśmy na tym balkonie na Piotrkowskiej, kiedy spojrzeliśmy w stronę Centralu, a potem w stronę Placu Wolności, to zobaczyliśmy morze ludzi na całej długości i szerokości Piotrkowskiej. Ależ to robiło wrażenie! To chyba wtedy dotarło do nas, że coś wielkiego i ważnego dzieje się na naszych oczach.

Już wtedy wiedziałeś, że chcesz być dziennikarzem, reporterem?

Nie, nie myślałem wtedy, co będę robił po studiach, bo dopiero za rok miała być matura. Jednak już w czasie studiów na UŁ, zacząłem współpracować z *Expressem Ilustrowanym*, a redakcja stała się niemal moim drugim domem na blisko 25 lat. A czemu w sierpniu 1981 r. chwyciłem za aparat? Sądzę, że każdy z nas ma w sobie jakąś wrażliwość społeczną, jakiś szacunek dla historii, czy świadomość wagi wydarzeń, których jesteśmy świadkami...

Ooo, jesteś naprawdę optymistą!

No, jakiś tam poziom wrażliwości i świadomości chyba każdy ma. Ja już od czasów szkoły podstawowej miałem świadomość takich wydarzeń, jak Powstanie Warszawskie czy obrona Helu w 1939 r., interesowały mnie Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, głównie polskie dywizjony lotnicze i Marynarka Wojenna. I dlatego uważałem, że trzeba patrzeć na to, co się wokół dzieje. A jak jest możliwość utrwalić tę rzeczywistość, to trzeba ją utrwalić. Bo nigdy nie wiadomo, co będzie później.

W tym miejscu chciałbym podziękować Mamie i Tacie, bo to dzięki nim tak patrzę na otaczający nas świat. Pewnie wpływ na moją społeczną i historyczną wrażliwość miał też fakt, że w naszej rodzinie był odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* powstaniec warszawski – zmarły w 2000 r. wujek Jerzy Harland ps. „Obwieś”. W tamtych czasach nie znałem nikogo innego, kto walczył w Powstaniu...

Kojarzymy ten marsz z kobietami. Ale na zdjęciach widać też mężczyzn...

Zgadza się. Kobiety miały obstawę męskiej części *Solidarności*. Mężczyźni próbowali trochę porządku zaprowadzić, oddzielić maszerujące kobiety od ludzi na chodnikach...

No właśnie – widzowie, czy po prostu gapie. Jak reagowali?

Jak reagowali? Moim zdaniem dość apatycznie. Pewnie część z nich to byli przypadkowi ludzie przechodzący akurat Piotrkowską. Stali i patrzyli. Nie zauważyłem, by ktoś z nich dopingował protestujące kobiety.

A był ktoś agresywny wobec maszerujących?

Nie, przynajmniej ja niczego takiego nie zauważyłem. Wbrew obawom to wszystko potoczyło się w miarę bezpiecznie. A przecież można się było spodziewać różnych prowokacji i rozrób ze strony władz.

Kobiety, jak widać ze zdjęć, były tam także z dziećmi, często dziećmi w wózkach.

To akurat już wtedy budziło moje mieszane uczucia, szczerze mówiąc. Pewnie był to świadomy zabieg ze strony organizatorów, żeby w pierwszym rzędzie marszu puścić kobiety z wózkami. Z myślą, że gdyby władzy przyszło do głowy „coś” zrobić, to byłaby zadyma na cały świat, że kobiety z wózkami zaatakowała milicja czy ZOMO. Przypuszczam, że taki to miało podtekst.

Takie trochę mięso armatnie...

No... może... ale obawy o reakcję władzy nie brały się znikąd. Różne rzeczy działy się wtedy na ulicach, gdy *Solidarność* protestowała.

Ten marsz był wówczas różnie odbierany. Nie wszyscy tak samo interpretowali jego intencje. To był lipiec 1981 roku, czas po podpisaniu porozumień sierpniowych. Wielu zwolenników tych porozumień uznawało, że kobiety protestują przeciwko rzeczywistości ekonomicznej, które przyniosły te po-

rozumienia, a nie przeciwko samej władzy. Że ten marsz był sprowokowany przez władzę.

Nie mnie oceniać intencje. Dla mnie ważne było wówczas, by uchwycić ważny moment w historii Łodzi, a i de facto – w historii Polski. Czas pokazał, że miałem rację, bo na kolejnych 40 lat ten marsz został zamieciony pod dywan. Wielu ludzi, nawet ci mieszkający w Łodzi, nawet nie kojarzy, że coś takiego miało miejsce. Trochę to smutne, bo protestujących górników, stoczniowców czy hutników na piedestał się wynosi!

No właśnie – protestujące kobiety. Dzisiaj też kobiety protestują. Czy widzisz tu jakiś wspólny mianownik?

Nie chciałbym tu nikomu niczego odbierać, ale te protesty mają całkiem inne podłoża. Tamten głodowy marsz był ewidentnie związany z trudami codziennego życia w ówczesnej Polsce. Z kolejkami i mordęgą codziennego życia... te kobiety, łódzkie włóknarki pracowały na trzy zmiany. Dzisiaj mało kto o tym pamięta. Poza tym miały normalne, domowe obowiązki. Po pracy musiały jeszcze „obskoczyć” sklepy spożywcze, żeby móc nakarmić mężów i dzieci. A wtedy zrobienie zakupów to naprawdę było duże wyzwanie. Nie było tak, że wchodzisz sobie do marketu i po pół godzinie wychodzisz z koszykiem pełnym zakupów. Wtedy pod sklepami stało się nieraz po parę godzin i kupowało to co akurat „rzucili”. Dlatego zupełnie nie widzę i nawet nie próbowałbym w ówczesnych i dzisiejszych protestach szukać wspólnego mianownika.

Natomiast jeśli chodzi o samą Łódź i jej los w wyniku przemian ustrojowych, zawsze, przez wszystkie te lata wkurzało mnie i bolało, że w świadomości całej Polski funkcjonowali stoczniowcy, hutnicy, górnicy... na których w domach czekały kobiety z gotowym obiadem. A łódzkie włóknarki w przekazach o tamtych latach praktycznie nigdy nie istniały. To jest dramat, po prostu! Nikt im nie pomógł jako grupie zawodowej, nikt też nie pomógł miastu. Zostało to wszystko zostawione samo sobie. I to jest to, czego kolejnym ekipom rządowym po 1989 r. nie mogę darować. Bo Łódź została wyrządzona wielka krzywda.



















WSZYSTKIE ZDJĘCIA -
Wojciech Markos Markiewicz

ŁÓDZKA WŁÓKNIARKA – ZAWÓD GINĄCY

dr Marcin Szymański

Uniwersytet Łódzki





FOT. DOMENA PUBLICZNA

Powszechnie znany jest fakt, że Łódź powstała jako miasto do pracy – przede wszystkim w przemyśle tekstylnym. Przez ponad półtora stulecia był to jeden z najważniejszych punktów na włókienniczej mapie Europy, w zasadzie niezależnie od zmieniających się granic politycznych. Od Imperium Rosyjskiego, przez sanację po PRL; od fabrykantów przez państwowe Zjednoczenia po spółki Skarbu Państwa, fabryki produkowały tysiące kilometrów nici, tkanin i dzianin oraz wyrobów konfekcyjnych.

Przez cały ten czas nie zmieniło się jedno – podstawowymi trybikami w tej maszynie były łódzkie włóknarki. Pomimo tego oczywistego faktu w świadomości wielu osób nie są one obecne. W pewnym stopniu jest to wina dość specyficznie nastawionych opracowań historycznych, które skupiają się na ważnych wydarzeniach i politykach. Jednak historia społeczna staje się coraz bardziej popularna.

Nieco winy ponosi też polszczyzna, w myśl której ogół osób określamy domyślnie rodzajem męskim, co w przypadku grup, w których dominują kobiety, może być mylące. Istniejąca w mieście „Aleja włóknarzy” sugeruje dominację mężczyzn w tym zawodzie, a rzeczywistość była zgoła odmienna.

O tym, że warto używać żeńskiej formy „włóknarki”, może nie tyle zamiast, ale równolegle z terminem „włóknarze” świadczyć chociażby statystyki zatrudnienia. W łódzkim przemyśle włókienniczym kobiety stanowiły około połowy zatrudnionych. Pod koniec wieku XIX i w początkach XX w zależności od przedsiębiorstwa ich udział procentowy wahał się między ok. 40 a ok. 60%³³. Często zajmowały najniższe stanowiska, a awans zawodowy był dla nich praktycznie zamknięty, podobnie jak dostęp do cechów zawodowych. Ponadto zarabiały mniej niż mężczyźni, rzekomo z powodu niższej wydajności i siły, co zresztą nigdy nie zostało w przemyśle lekkim udowodnione. Wiele świeżości do dyskusji na ten temat wniosła nagradzana książka o dającym do myślenia tytule „Aleja Włóknarek”³⁴, odnosząca się wprost do jednej z najważniejszych łódzkich ulic, której nazwa w istocie honoruje jedynie męską część tej grupy zawodowej.

33. M. Sikorska-Kowalska, Armia nowoczesnych niewolnic. Robotnice w Łodzi przełomu XIX i XX wieku, [w:] K. Śmiechowski, M. Sikorska-Kowalska, K. Fukumoto, Robotnicy Łodzi drugiej połowy XIX wieku, Łódź 2016, s. 51.

34. Zob. M. Madejska, Aleja Włóknarek, Wołowiec 2018.

W przypadku Łodzi stosowanie feminatywów ma więc głębokie uzasadnienie.

Włókiennictwo należy do branż przemysłu lekkiego, nazwa jednak może być dalece myląca, bowiem praca w hali fabrycznej do lekkich nie należała. W zasadzie niewiele wiemy o warunkach pracy łodzianek w okresie sprzed rozpoczęcia procesu ucywilizowania przemysłu, który zaczął się w 1882 roku wraz z utworzeniem urzędu Starszego Inspektora Fabrycznego. Przepisy chroniące małoletnich i kobiety przed pracą nocną, uregulowanie stosunku pracy

robotników, nadzór państwowy nad przemysłem weszły w życie niemal dekadę później, a i tak były interpretowane dość swobodnie. W tym czasie pojawiły się regulaminy fabryczne, do których przestrzegania zobowiązani byli zatrudnieni.

Często przestrzeganie zapisów w regulaminach było wręcz niemożliwe – pracowano w pośpiechu, bowiem najczęściej była to praca na akord, a więc każda minuta była bardzo cenna. W ten sposób robotnice i robotnicy nie byli w stanie odpowiednio dbać o swoje bezpieczeństwo, a sprawa była bardzo poważna. Produkcja włókiennicza końca XIX wieku i pierwszej połowy wieku XX była niezwykle niebezpieczna. Maszyny włókiennicze najczęściej ustawione były w halach bardzo ciasno, pełne były ruchomych, nie-

O tym, że warto używać żeńskiej formy „włókniarki”, może nie tyle zamiast, ale równolegle z terminem „włókniarze” świadczą chociażby statystyki zatrudnienia. W łódzkim przemyśle włókienniczym kobiety stanowiły około połowy zatrudnionych.

osłoniętych elementów, z którymi kontakt mógł być zabójczy lub skończyć się kalectwem. Podobnie z pasami transmisyjnymi, które podwieszone były pod sufitem i napędzały urządzenia. Było to niebezpieczne zwłaszcza dla kobiet, bowiem groziły wkręceniem włosów i dotkliwym okaleczeniem lub śmiercią. Niebezpieczne było też samo czółenko, które „wysztzelone” z krosna zachowywało się jak zaostrzony pocisk³⁵. Unoszący się pył bawełniany uszkadzał płuca, a stojąca praca przyczyniała się do chorób nóg, jak np. żylaki. Opis ten przywołuje na myśl obrazy z dziewiętnastowiecznych fabryk, gdzie zmęczeni, szarzy ludzie obsługują terkoczące maszyny – niestety, w przypadku wielu łódzkich fabryk był on w dużej mierze aktualny aż po lata 70. XX wieku.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przemysł końca XIX wieku opierał się na niskich kosztach pracy, a więc małych płacach i niewielkich nakładach na wszystko, co nie przynosiło bezpośredniego zysku właścicielowi fabryki. Okres międzywojenny wbrew szerokim oczekiwaniom nie przyniósł dużej poprawy warunków pracy. Owszem, w II Rzeczypospolitej

35. M. Gawryszczak, Warunki pracy robotników. Regulamin pracy z 1901 roku w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, www.historiaposzukaj.pl/wiedza/obiekty/1632/obekt_regulamin_pracy_z_1901_roku_w_centralnym_muzeum_wlokiennictwa_w_lodzi (dostęp: 1.08.2021).

pojawiało się równouprawnienie kobiet, przynajmniej polityczne. Niewiele jednak zmieniło się w ich faktycznej pozycji społecznej i gospodarczej. Wciąż zarabiałły mniej niż mężczyźni, a do tego wciąż musiały zajmować się domem i rodziną. W czasach wielkiego kryzysu każda możliwość podjęcia pracy była ważna, nawet za głodowe stawki.

Czas II wojny światowej był dla Łodzi katastrofalny – funkcjonariusze aparatu represji III

Rzeszy wymordowali niemal wszystkich Żydów, Polakom odebrano majątki i ich prześladowano, natomiast przed Niemcami postawiono wybór: podpisanie volkslisty i wyrzeknięcie się państwa polskiego lub utrata praw obywatelskich i faktycznie pozbawienie możliwości prowadzenia przedsiębiorstw.

W przypadku warstwy robotniczej lata okupacji to przede wszystkim głodowe pensje, wyższe wymiary akordów i strach przed prześladowaniem – za błahe nawet przewinienia groziła zsyłka do obozu koncentracyjnego, więzienie lub śmierć. Wiele osób zatrudnionych w Łodzi trafiło do pracy przymusowej w Rzeszy – dla części oznaczało to utratę zdrowia lub nawet życia.

Proces zapoczątkowany przez Niemców, czyli centralizacja przemysłu i podporządkowanie go planom gospodarczym (faktycznie wojennym)

Maszyny włókiennicze najczęściej ustawione były w halach bardzo ciasno, pełne były ruchomych, nieosłoniętych elementów, z którymi kontakt mógł być zabójczy lub skończyć się kalectwem. Podobnie z pasami transmisyjnymi, które podwieszane były pod sufitem i napędzały urządzenia. Było to niebezpieczne zwłaszcza dla kobiet, bowiem groziły wkręceniem włosów i dotkliwym okaleczeniem lub śmiercią.

III Rzeszy, był kontynuowany przez władze rodzącej się pod patronatem ZSRR Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Postulat nacjonalizacji przemysłu był zresztą obecny w programach niemal wszystkich partii politycznych tego czasu, również tych związanych z rządem na uchodźstwie, nie był więc bardzo kontrowersyjny dla Polaków. Co więcej, z podporządkowaniem przemysłu władzom państwowym wiązano duże nadzieje – przede wszystkim na poprawę warunków pracy, wyższe płace, opiekę socjalną itd. Jak się okazało, były to nadzieje płonne, zwłaszcza w włókienniczej Łodzi. Pieniądze przydzielane odgórnie na państwowe inwestycje omijały to miasto, a politycy zawsze mieli ważniejsze cele. Odbijało się to na łódzkiej społeczności robotniczej, a zwłaszcza na kobietach, które dominowały przede wszystkim na najgorzej płatnych stanowiskach. Znalazło to odzwierciedlenie w licznych strajkach, które wybuchały na tle ekonomicznym już od 1945 roku.

Co więcej, już niemal od pierwszych lat istnienia państwowego przemysłu włókienniczego rozpoczęto naciski na większą wydajność pracy. Z jednej strony znalazło to odzwierciedlenie w promowaniu tzw. współzawodnictwa pracy, które



FOT. DOMENA PUBLICZNA

stawalo się często kością niezgody między zatrudnionymi w danym zakładzie – osoby przekraczające normy produkcji o kilkadziesiąt procent stawiane były za wzór, wynagradzane odznaczeniami (rzadziej premiami), ale też ich osiągnięcia stawały się podstawą do zwiększania norm i planów, co odbijało się na wszystkich pracujących. Począwszy od lat 40. nasiliły się też naciski na tzw. wielowarsztatowość, czyli konieczność obsługi większej liczby maszyn przez jedną osobę. Na tym polu wybuchł potężny, bo obejmujący ponad 40% zatrudnionych, strajk w 1947 roku – chodziło o niesprawiedliwe wyliczanie wynagrodzenia zależne od stanu maszyn, na który robotnice i robotnicy nie mieli wpływu. Na niewiele się to zdało, bowiem władze wymusiły posłuszeństwo groźbą zwolnienia z pracy.

Dyrekcja przedsiębiorstw miała tak czy inaczej związane ręce. Centralizacja przemysłu oznaczała przeniesienie decyzyjności wyżej – w nowym systemie zakład pracy, często grupujący kilka fabryk, podlegał Centralnemu Zarządowi, później przekształconemu w Zjednoczenie branżowe, a więc strukturę grupującą przedsiębiorstwa państwowe określonej branży, np. włókiennicze. Te podlegały pod odpowiednie ministerstwo, co oznaczało, że zakład pracy był przedłużeniem władzy wykonawczej. W taki sposób najważniejsze dla danych zakładów decyzje zapadały na wysokim szczeblu w stolicy, a miejscowa dyrekcja miała na nie ograniczony wpływ. Podobnie było z wypracowanymi zyskami – nad wszystkim pieczę trzymało Zjednoczenie i dopiero tam decydowano o ewentualnych inwestycjach, amortyzacji czy zwiększeniu płac.

Taka polityka odbijała się bezpośrednio na Łodzi, która zawsze była w cieniu wielkich inwestycji np. na Śląsku. Miasto wyróżniało się wciąż się pod kątem aktywności zawodowej kobiet, nawet bardziej niż we wcześniejszych latach. Pod koniec lat 60. aż 54% mieszanek miasta pracowała zawodowo, panie stanowiły też ponad 48% wszystkich zatrudnionych w Łodzi. W zakładach włókienniczych odsetek ten był jeszcze wyższy – w zależności od zakładu pracy panie stanowiły od 50% aż do nawet 80% zatrudnionych. W 1960 roku średnia dla miasta sięgała 67%. Jasno więc widać, jak bardzo sfeminizowana była branża włókiennicza. Kobiet przy maszynach było jeszcze więcej – wśród osób pracujących na wyższych stanowiskach dominowali mężczyźni. Jednocześnie w latach 50. zarobki w łódzkim przemyśle były nawet o 25% niższe od średniej krajowej. Dekadę później łódzkie zarobki były niższe o 20%, a więc dystans

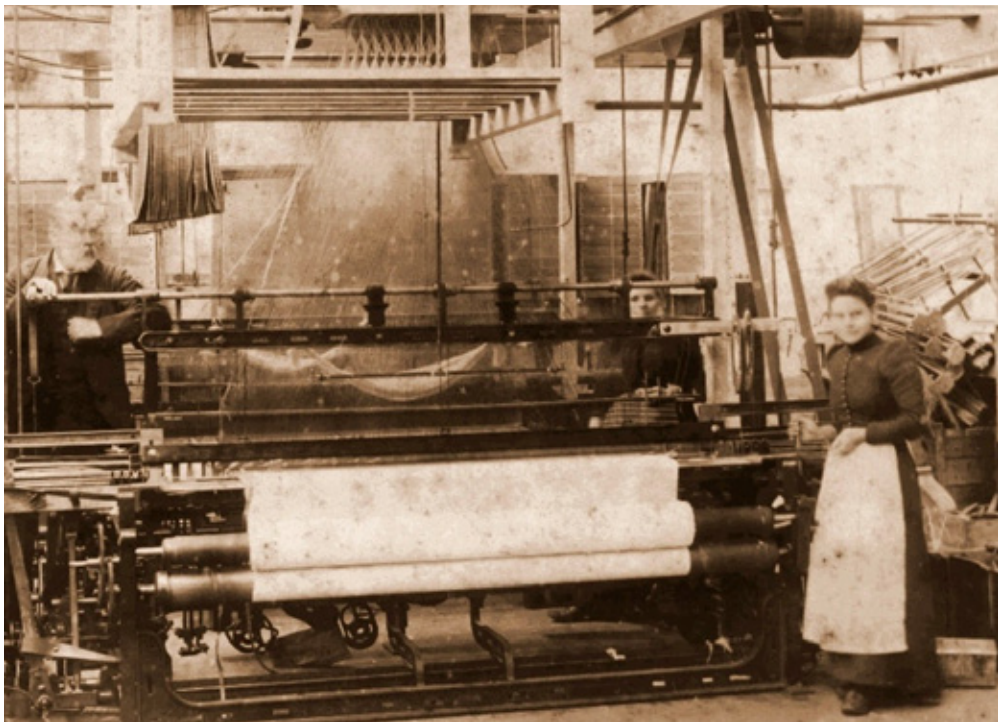
ten zmniejszył się jedynie w niewielkim stopniu. Rozgoryczenie łodzianek pogłębiały warunki pracy. W latach 60. XX wieku aż 60% maszyn miało więcej niż ćwierć wieku, a spora ich część pamiętało jeszcze czasy caratu³⁶. Chociaż norma hałasu wynosiła 90dB, krosna często emitowały nawet 105 dB, a wraz ze zużyciem jeszcze więcej. Dziś przyjmuje się, że hałas powyżej 85dB może powodować uszkodzenia słuchu³⁷. W Łodzi długość życia była grubo poniżej średniej, wyższa była również śmiertelność niemowląt. Setki kominów zatruwały powietrze. Na ciężkie warunki w łódzkim przemyśle nakładały się problemy znane w całym kraju – brak towarów w sklepach, spowodowany gospodarką planową nastawioną na eksport, ucisk polityczny, nieograniczona władza struktur państwowych, propaganda i brak dostępu do wiarygodnych informacji.

W latach 60. XX wieku aż 60% maszyn miało więcej niż ćwierć wieku, a spora ich część pamiętało jeszcze czasy caratu.

W 1971 roku doszło do wydarzenia, które zapisało się w dziejach miasta jako strajk łódzkich włóknienek. Aż 12 tys. włóknienek dołączyło do strajku, który wybuchł w ZPB im. Marchlewskiego. Wśród protestujących aż 80% stanowiły kobiety. To dzięki nim doszło do cofnięcia podwyżek z grudnia roku poprzedniego, a jednocześnie był to impuls do zwiększenia nakładów finansowych na łódzkich przemysł. Był to jedyny strajk w dziejach PRL-u zakończony sukcesem. Był to też moment, w którym politycy z Warszawy po raz

36. K. Lesiakowski, Strajk robotników łódzkich w lutym 1971 r., „Pamięć i Sprawiedliwość” 2002, nr 1, s. 133.

37. www.wapteka.pl/blog/artukul/halas-jak-wplywa-na-nasze-zdrowie

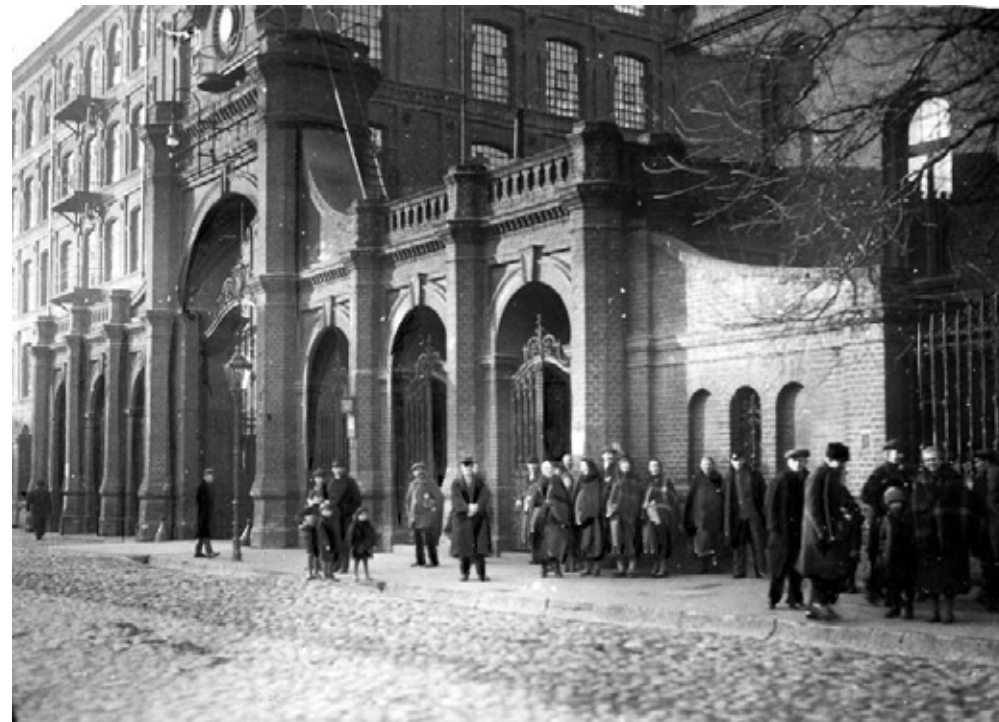


FOT. DOMENA PUBLICZNA

pierwszy zapoznali się naocznie z problemami, jakie dręczyły łódzki przemysł, ze zużyciem maszyn, brakiem podstawowego zaplecza socjalnego itd.

Na pewno strajk z 1971 roku miał duży wpływ na wielkie zmiany w przemyśle, jakie przyniosła dekada „gierkowska”. Doszło do budowy nowych, nowoczesnych fabryk (Vera, Teofilów, Bistona) i modernizacji ponad setki starych. Powstały stołówki, ambulatoria, przychodnie, żłobki, przedszkola, ośrodki wczasowe i kolonijne, domy kultury. Co istotne, znaczna część inwestycji tego czasu skupiała się na zapleczu socjalnym. Istniejące zakłady rozbudowano więc o łazienki, szatnie, szafki dla pracowników itd. W niektórych powstały nawet oddziały pracy chronionej dla kobiet w ciąży, poradnie K, poradnie chorób nóg, natomiast w części zakładów dziewiarskich pojawiły się nawet gabinety do manicure³⁸.

38. Zob. A. Zysiak, M. Szymański, J. Kocemba-Zebrowska, W. Różycka-Stasiak, M. Madejska, M. Gruda, E. Kurkowska, Wielki przemysł, wielka cisza. Łódzkie zakłady przemysłowe 1945-2000, Łódź 2020.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przy zakładach istniał tzw. socjal - wczasy, kolonie dla dzieci, pożyczki zakładowe, zasiłki, renty itd. to w dużej mierze zdobycze tych czasów. W zakładach działały sklepy i kioski spożywcze, przychodnie, zatrudnieni mogli też liczyć na możliwość zakupu produkowanych wyrobów, co miało znaczenie, bowiem najczęściej na rynku ich brakowało. Zakłady pracy były nie tylko źródłem utrzymania dla kilku pokoleń, ale też miejscem, gdzie nawiązywano przyjaźnie i długoletnie relacje. Nierzadkie były nawet małżeństwa. Jednocześnie władze przedsiębiorstw dbały o organizację wydarzeń, które dziś nazwalibyśmy integracyjnymi, a więc wycieczki, wyjazdy na grzybobranie, pikniki itd. Latem można było wyjechać na wczasy, a dzieci wysłać na kolonie lub zimowiska. Niektóre zakłady zatrudniały nawet po kilka tysięcy osób, trudno więc, by wszyscy się znali, a jednak pracownice i pracownicy we wspomnieniach przywołują pewną solidarność wśród załogi, jak wtedy nazywano ogół zatrudnionych w danym zakładzie. Ministerstwa fundowały różnego rodzaju nagrody za wyniki w wykonaniu planu, a sztandar przechodni za wyniki we

współzawodnictwie pracy były dla wielu powodem do dumy z własnego zakładu. Podobnie było z zawodami sportowymi – kibicowało się własnym przykładowym drużynom, a w międz zakładowych „Spartakiadach” śledziło wyniki reprezentantów „swojej” fabryki.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Realia były jednak nieubłagane, a reformy i inwestycje lat 70. poprawiły warunki życia i pracy tylko częściowo. Przełom dekad przyniósł dotkliwy kryzys gospodarczy, szybko pojawił się europejski fenomen – „Solidarność”, która miała w Łodzi licznych przedstawicieli – i przedstawicielki. 30 lipca 1981 roku przeszła ulicą Piotrkowską największa manifestacja w historii Łodzi, zapamiętana jako „Strajk Głodowy”. Były to przede wszystkim kobiety, pracownice łódzkich zakładów przemysłowych, które w pokojowy sposób demonstrowały swoje niezadowolenie i obawy związane z brakiem artykułów żywnościowych w sklepach. Do dziś trwają spory o to, komu przypisać tę inicjatywę – obowiązująca narracja mówi raczej o spontanicznym wystąpieniu z inicjatywą kobiet właśnie, z podkreśleniem roli Janiny Kończak, działaczki „Solidarności” z zakładów „Stomil”, natomiast Jerzy Kropiwnicki, w tym czasie wiceprzewodniczący Zarządu Regio-

nalnego „Solidarności” twierdzi, że była to inicjatywa Zarządu Regionalnego. W obliczu powodzenia tego przedsięwzięcia i faktu, że tak wiele kobiet wzięło w nim udział, takie dywagacje wydają się drugorzędne. Faktem jest to, że po raz drugi w powojennej historii Łodzi to właśnie kobiety zaznaczyły bardzo wyraźnie swoją obecność.

Zmiany polityczne, jakie zaszły pod koniec lat 80. pociągnęły za sobą zmiany gospodarcze. Państwo przestało być monopolistą w dziedzinie produkcji przemysłowej, a nowym kierunkiem była prywatyzacja. Było to olbrzymie przedsięwzięcie na niespotykaną dotąd skalę o olbrzymich skutkach. Sama idea była słuszna, natomiast w wielu przypadkach te skutki były opłakane. W wielu przypadkach majątek narodowy, wypracowany przez niemal pół wieku wyprzedawany był za ułamek wartości. W innych dokonywano wręcz wrogiego przejęcia. Jedną z najgłośniejszych tego typu spraw była prywatyzacja „Bistony”, po której zapadły wyroki skazujące. Proces likwidacji polskiego przemysłu był gwałtowny i niespotykany w zasadzie nigdzie w Europie – tam przebiegał w sposób dość naturalny, zgodnie z rozwojem gospodarki. Dla Polski skutki były bardzo dotkliwe, a dla miast o charakterze głównie przemysłowym, jak Łódź – katastrofalne. Dwucyfrowy poziom bezrobocia, wykluczenie społeczne, alkoholizm, a nawet samobójstwa – dla wielu osób, którzy stracili pracę, tak wyglądała rzeczywistość lat 90. w mieście. Pomoc socjalna była dalece niewystarczająca, a i tak okazywało się, że podstawą egzystencji wielu rodzin była babcia – emerytowana włóknierka. Nie wszyscy mieli jednak wiek emerytalny, a osoby pracujące całe życie przy maszynach włókienniczych nie miały perspektyw na zatrudnienie. Wiele rodzin byłych włóknierek nie zdołało wydobyć się z biedy, która została przekazana kolejnemu pokoleniu. Dopiero w 1997 roku poziom PKB na mieszkańca w Polsce wrócił do poziomu z końca „gierkowskiej” dekady. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że Łódź poziom ten osiągnęła dopiero w wieku XXI.

Obecnie Łódź to miasto akademickie z rozbudowanym sektorem szeroko pojętych usług. Przemysł to tylko niewielka część tego, co niegdyś było głównym napędem rozwoju miasta. Historia lokalna jest niezwykle ciekawa i cieszy fakt, że pojawia się coraz więcej prób jej upamiętnienia. W Nowym Centrum Łodzi pojawiły się nazwy ulic, honorujące rodziny fabrykanckie, natomiast Rynek Włóknierki Łódzkich w prywatnej Manufakturze przypomina o kilku pokoleniach pracowitych kobiet, bez których sukces łódzkiego włókiennictwa nie byłby możliwy.

KOBIETY W ŁÓDZKIEJ POLITYCE

Piotr Wesołowski

TV TOYA

Obserwowałem ich wielkie sukcesy i spektakularne porażki. Przeprowadzałem z nimi wywiady, komentowałem i oceniałem. Chyba wszystkie polubiłem, ale bywało, że obrażone nie odpowiadały na powitanie. Jednak nawet, jak się gniewały to z wdziękiem, którego próżno szukać u mężczyzn-polityków.

Z opisywanych pań nie poznałem osobiście tylko Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej. Tkaczki, komunistki, pierwszego sekretarza Komitetu Łódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, posłanki. Podobno gdy miała 14 lat i szła się zatrudnić w łódzkiej przędzalni, to założyła buty na wysokich obcasach, żeby wyglądać na starszą. Był rok 1922.

W 1986 roku została pochowana z honorami państwowymi na Cmentarzu Komunalnym na Zarzewie. W pogrzebie uczestniczyło kilka tysięcy osób. Jak to możliwe, że ta niewykształcona kobieta, która karierę polityczną robiła w czasach stalinizmu i krótkiej popaździernikowej odwilży, była tak dobrze oceniana przez mieszkańców Łodzi? Najprostsze odpowiedzi. Chociaż miała olbrzymią władzę, pozostała osobą skromną. I chyba autentycznie troszczyła się o łódzkie kobiety.

Ojciec Michaliny był działaczem Komunistycznej Partii Polski. Córka jeszcze przed wojną poszła w jego ślady. W PRL-u zrobiła błyskawiczną karierę. Jako jedyna kobieta. Była członkiem Komitetu Centralnego PZPR. W Łodzi rządziła partią do 1964 roku. A jeśli partią, to także miastem. Łodzianie opowiadali, że w dramatycznych sprawach uznawana była za „ostatnią instancję”. Popularne w tym czasie było powiedzenie „Napisz do Tatarkówny, ona ci pomoże”.

Z polityki wycofała się w 1965 roku. Zmusił ją do tego Władysław Gomułka. Pokłócili się o likwidację trzeciej zmiany w przemyśle włókienniczym. Tatarkówna Majkowska domagała się tego od lat. Gomułka nie chciał o tym nawet rozmawiać. Nie zgodziła się też na realizację w Łodzi wielorodzinnego budownictwa mieszkaniowego w wersji wyjątkowo oszczędnej, zastosowanej w Gdańsku. Projekt zakładał na przykład wspólne toalety na piętrze.

- Żeby powstały w Łodzi nowe osiedla na Dąbrowie, Teofilowie, Widzewie, Retkini, Radogoszczu trzeba było wybudować całą infrastrukturę. Musiały być

nowe elektrociepłownię, kanalizacja, sieć energetyczna. Ona wrywała te pieniądze dla miasta – mówił przed laty Józef Niewiadomski, były prezydent Łodzi.

W czasie rządów Tatarkówny-Majkowskiej wybudowano Teatr Wielki, Teatr Muzyczny, Halę Sportową. Powstało Muzeum Historii Włókiennictwa. W sobotę i niedzielę kazała zamykać Piotrkowską dla samochodów na odcinku od Zielonej do Andrzeja, żeby robotnicy mogli tam spacerować.

W czasie rządów Tatarkówny-Majkowskiej wybudowano Teatr Wielki, Teatr Muzyczny, Halę Sportową. Powstało Muzeum Historii Włókiennictwa. W sobotę i niedzielę kazała zamykać Piotrkowską dla samochodów na odcinku od Zielonej do Andrzeja, żeby robotnicy mogli tam spacerować.

Tatarkówna-Majkowska: - Wyklócałam się w stolicy o złotówki dla Łodzi. Miasto, które ubiera cały kraj, zarabia dewizy, potrzebuje wody, rozbudowy kanalizacji, ulic. Przecież do dziś łodzianie jeżdżą najgorszymi pociągami w Polsce. Przeze mnie! Bo ja się głupia zgodziłam na to, żeby zlikwidować w Łodzi Okręgową

Dyrekcję Kolei. Jak miała przyjechać jakaś ważna delegacja, to już osobiście instruowałam dyrektorów: „Synki, porządkiem to wy się możecie chwalić, ale pokazujcie też braki i wywalajcie całą prawdę, bo inaczej grosza z Warszawy nie wydusimy”.*

Do końca życia utożsamiała się z PZPR: - Jeżeli ktoś mówi, że partia jest skompromitowana, to się myli, bo skompromitowani mogą być ludzie.

Partia bowiem to idea, a ludzie znaleźli się w niej różni – opowiadała w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego” w okresie stanu wojennego.

Na emeryturze udzielała się w łódzkim Towarzystwie Przyjaciół Dzieci (sama ich nie miała). TPD zapisała w testamencie swoje mieszkanie przy ulicy Kopcińskiego i działki: w Żabiczkach oraz Grotnikach.

W 2005 głosami radnych lewicowych nadano imię Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej jednej z ulic miasta. Wśród argumentów za tą kandydaturą wymieniano m.in. zasługi w rozwoju łódzkiego budownictwa mieszkaniowego oraz jej zdecydowaną postawę przeciwną przemianowaniu ulicy Piotrkowskiej na ulicę Stalina. W 2017 łódzki wojewoda Zbigniew Rau podjął decyzję o zmianie nazwy ulicy Tatarkówny-Majkowskiej i nadaniu jej imienia Anny Walentynowicz. Instytut Pamięci Narodowej przygotował dla wojewody notatkę, w której można było m.in. przeczytać, że Tatarkówna-Majkowska „jako I sekretarz KŁ PZPR brała aktywny udział w przymusowej laicyzacji i ideologizacji szkolnictwa różnych szczebli. Zdecydowanie przeciwstawiała się praktykom religijnym wśród członków partii, urzędników, milicjantów itp. i ich rodzin.



MICHALINA TATARKÓWNA
W JEDNEJ Z ŁÓDZKICH
SZKÓŁ ZAWODOWYCH
FOT. DOMENA PUBLICZNA



MICHALINA TATARKÓWNA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Znamienna jest sytuacja z września 1962 r., kiedy na posiedzeniu Egzekutywy KŁ zgłosiła wniosek o dymisję kierowniczkę jednego z łódzkich urzędów stanu cywilnego w związku z praktykowaniem przez nią judaizmu”.

30 LAT W SEJMIE

Iwonę Śledzińską Katarasińską poznałem, gdy zakładała w Łodzi oddział „Gazety Wyborczej”. Sierpień 1989 roku. Ja zaraz po studiach na polonistycę. Wiesław Pierzchała, kolega z roku, a teraz reporter „Dziennika Łódzkiego” opowiada, że szukają ludzi do pracy w łódzkim oddziale „Gazety”. Dla mnie „Wyborcza”, która ukazuje się dopiero od trzech miesięcy, to szczyt marzeń. Pierwsza rozmowa z panią Iwoną i dostaję szansę.

O swojej nowej szefowej wiedziałem, że pracowała w „Dzienniku Łódzkim”, łódzkiej telewizji i „Głosie Robotniczym”. Na I Zjeździe Solidarności w Hali Oliwii pełniła funkcję sprawozdawcy. 13 grudnia była krótko internowana, potem została objęta zakazem pracy w mediach, oświacie i instytucjach kultury. Działała w podziemnej „Solidarności” i zdelegalizowanym Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. We współpracy z Ojcem Stefanem Miecznikowskim



IWONA ŚLEDZIŃSKA-KATARASIŃSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

współtworzyła tzw. „spotkania środowe” Duszpasterstwa Środowisk Twórczych przy Kościele Jezuitów.

Gdy nadeszła demokratyczna rewolucja 1989 roku odpowiadała za część kampanii kandydatów Lecha Wałęsy do parlamentu. Kiedy została radną Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego w 1990 roku łączyła tę funkcję z szefowaniem w łódzkiej „Wyborczej”. Iwona Śledzińska Katarasińska to polityczny fenomen. Mandat poselski piastuje nieprzerwanie od 1991 roku! Nieustannie w Sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

W 1990 roku wstąpiła do ROAD. Później należała do Unii Demokratycznej i Unii Wolności, od 2001 roku działa w Platformie Obywatelskiej.

Do dzisiaj nie mówię jej po imieniu i jest to wyraz szacunku, a nie dystansu. Ona, oczywiście, kilka razy proponowała przejście na Ty. I w jedną stronę to działa. Pani Iwona mówi mi po imieniu.

Moim szefem w „Gazecie” była przez dwa lata. Największy komplement, jaki od niej usłyszałem to, że warto było dać mi szansę. Co w tłumaczeniu na prostszy język może oznaczać, że jest ze mnie dumna. Bo Iwona Śledzińska-Katarasińska nie jest osobą wylewną. Oszczędna w pochwałach, bardziej szczodra w krytyce. To typ politycznego fightera i niech nikogo nie zwiedzie jej delikat-

O swojej nowej szefowej wiedziałem, że pracowała w „Dzienniku Łódzkim”, łódzkiej telewizji i „Głosie Robotniczym”. Na I Zjeździe Solidarności w Hali Oliwii pełniła funkcję sprawozdawcy. 13 grudnia była krótko internowana, potem została objęta zakazem pracy w mediach, oświacie i instytucjach kultury.

na figura i polonistyczne studia zakończone pracą magisterską pod kierunkiem prof. Stefanii Skwarczyńskiej i prof. Zdzisława Skwarczyńskiego – „Sklepy cynamonowe Brunona Schultza”. Potrafi być uroczo złośliwa i inteligentnie cyniczna. Dlatego zamiast ją opisywać, najlepiej do charakterystyki wykorzystać cytaty. Na antenie Radia ZET oceniała uroczyste przywitanie Beaty Szydło na lotnisku przez Prawo i Sprawiedliwość. Kiedy premier wróciła ze szczytu w Brukseli, podczas którego wybrano na kolejną kadencję na szefa Rady Europejskiej Donalda Tuska (przeciw była tylko Polska), posłowie PiS powitali ją kwiatami i uściskami. Iwona Śledzińska-Katarasińska mówiła wtedy: – Jak się przegrywa 27:1, to ja nie wiem, czy to jest dowód szacunku. Ja się po prostu śmiałam. A potem pomyślałam, że nie mam z czego się śmiać, bo to widzi cały świat. Myślałam, że to wrócił Sobieski spod Wiednia.

I kolejne błyskotliwe wypowiedzi pani Iwony.

- Jest pan, panie pośle, zdecydowanie za młody, żebym ja panu dawała słowo. Ja daję słowo swoim wyborcom – rok 2010.
- Poseł Palikot jest jednoosobową partią w PO i nie jest to jego pierwsza wypowiedź, która nie ma nic wspólnego z polityczną rzeczywistością - rok 2009.
- Ja nie pracuję w komisji finansów publicznych, więc mam podobne spojrzenie, co większość Polaków. Słucham więc spokojnie wszystkich głosów. W pewnym momencie stwierdziłam, że ta debata jest wyjątkowa. Ta wyjątkowość polega na tym, że jeśli państwo z opozycji naprawdę byście wierzyli, że Polska jest taka, jak ją opisujecie, to powinniście wyjść i strzelić sobie w łeb. Bo waszym zdaniem Polska to spalona ziemia - rok 2012.
- Oświadczam: Donald Tusk nie ma skłonności do okrucieństwa ani nie jest kapryśny, a już tak dobrze, jak traktował profesor Gilowską, to nie wiem, czy kogoś innego w przeszłości tak traktował - o wywiadzie Zyty Gilowskiej, w którym stwierdziła, że Donald Tusk jest kapryśny i ma skłonności do okrucieństwa – rok 2009.

W biogramie sejmowym można przeczytać, że „poseł Iwona Śledzińska-Katarasińska zawsze stoi w obronie interesów praw obywateli, podejmując szereg interwencji poselskich. Dzięki jej zaangażowaniu w rozwój łódzkiej kultury m. in. rozpoczęto rewitalizację Księżego Młyna, powołano Narodowe

Centrum Kultury Filmowej w Łodzi, które ma na celu przywrócenie znaczenia tradycji Łodzi filmowej”.

Sylwetka na stronie Platformy Obywatelskiej kończy się takim opisem „W polityce ceni kompetencje i uczciwość, nie znosi kłamstwa, chamstwa i „układów”. Przesuwa się na pozycję konserwatywno-liberalną, upatrując w tym nurcie szansy na stworzenie w Polsce silnej, odpowiedzialnej i umiarkowanej prawicy”. Pani Iwona na prawicy? Raczej nie uwierzę.

RADNA, SENATOR, POSEŁ

Zdzisława Janowska najpierw była wykładowcą akademickim, profesorem nauk ekonomicznych, a dopiero potem politykiem. Autorka kilkunastu monografii i około stu pięćdziesięciu artykułów naukowych, zamieszczanych w prasie specjalistycznej. Badacz i ekspert, doradca polityki gospodarczej z dziedziny restrukturyzacji, prywatyzacji, przeciwdziałaniu bezrobociu i zarządzania zasobami ludzkimi. To dobre przygotowanie do kariery w parlamencie lub rządzie. Najpierw był jednak samorząd w Łodzi.

W 1990 roku zaledwie dziewięć



ZDZISŁAWA JANOWSKA
FOT. DOMENA PUBLICZNA

miejsz w 80-sięcio osobowej radzie zajęły kobie-ty. Wśród nich była Zdzisława Janowska z Woje-wódzkiego Komitetu Obywatelskiego.

W czasie obrad odrodzonego samorządu Janowska to elegancja i kompetencje. Nawet jej największy rywal polityczny - Grzegorz Palka powiedział na jednej z konferencji prasowej, że „pod względem wizualnym nie ma Janowskiej nic do zarzucenia”. Za co zresztą zaraz mu się oberwało, bo Janowska nie lubiła, gdy zwracano uwagę na jej urodę i sposób ubierania się, a nie na wiedzę i doświadczenie. Była chyba pierwszą

klasyczną feministką w Łodzi. To

ona już w 1991 organizowała bezpłatne kursy dla bezro-botnych kobiet „Jak założyć własną firmę”. Była założy-cielką i prezesem Między-narodowej Fundacji Kobiet w Łodzi, promującej rów-ność kobiet na rynku pracy.

Na początku tego wieku prze-konywała, że we władzach na co drugim stanowisku powinna być kobieta.

Już w samorządzie szukała przeciwnika, z którym mogłaby się publicznie spierać. Złośliwi twierdzili, że dla funkcjonowania w polityce musiała mieć wroga. Pierwszym był w naturalny sposób ówczesny prezydent Grzegorz Palka. Konserwatywny, bliski Kościołowi, skupiający się przede wszystkim na Łodzi. Ona lewicowa, dość daleka od konfesjonatu, z ogólnopolskimi ambi-cjami. Spierali się ze sobą bez przerwy. Janow-ska przeciwnika potrafiła także znaleźć wśród

Już w samorządzie szukała przeciwnika, z którym mogłaby się publicznie spierać. Złośliwi twierdzili, że dla funkcjonowania w polityce musiała mieć wroga.

swoich politycznych sprzymierzeńców.

Od 1993 do 1997 zasiadała w Senacie III kadencji z ramienia Unii Pracy, sprawowała funkcję wiceprzewodniczącej Parlamentarnej Grupy Kobiet. Ponownie została wybrana do Senatu w 2001 roku. Wtedy pracowała nad ustawą o równym statusie kobiet i mężczyzn.

Janowska nigdy nie była politykiem schematycznym. Gdy jej polityczni przyjaciele z Sojuszu Lewicy Demokratycznej ogłosili przygotowania do re-ferendum w sprawie odwołania prezydenta Łodzi - Jerzego Kropiwnickiego, publicznie skrytykowała ten pomysł twierdząc, że zmiana władzy kilka miesięcy przed końcem kadencji zaszkodzi wielu inwestycjom miejskim.

W 2010 roku bezskutecznie ubiegała się o urząd prezydenta Łodzi. W dru-giej turze poparła Dariusza Jońskiego, który ostatecznie przegrał z Hanną Zdanowską. A to właśnie Joński był inicjatorem odwołania w referendum Kropiwnickiego!

Jolanta Kwaśniewska, żona byłego prezydenta RP, poparła Zdzisławę Janowską, która ponownie ubiegała się o mandat poselski w 2011 roku. Gdy nie dostała się do Sejmu, tak mówiła o Jońskim: - Stoczyłam walkę o przyzwo-ite miejsce na liście SLD i mimo że takiego nie dostałam, to zdobyłam 17 proc. głosów, a lider listy Joński zdobył ich o wiele mniej niż lider listy z poprze-dnich wyborów. Czuję się człowiekiem lewicy i chcę pomóc, ale jak pomóc, jak się słyszy słowa przeczące wartościom lewicy.

Później przekonywała, że prezydent Bronisław Komorowski i premier Donald Tusk „kompromitują myślenie europejskie”.

PREZYDENT RAZY TRZY

Rok 1983. Hanna Zdanowska jest inżynierem środowiska po Politechnice Łódzkiej i pierwszą kobietą majstrem w Kombinacie Budownictwa Mieszkanio-wego, „Zachód”. Nauczyła się obsługiwać koparkę i spychacz. - Miałam wiedzę akademicką, fachu uczyłam się na budowie. Przyznawałam się, że czegoś nie wiem. Robotnicy to doceniali – wspomina.



HANNA ZDANOWSKA
FOT. DOROTA CERAN

Na budowach pracowała cztery lata, potem zrobiła papiery czeladnicze z krawiectwa i otworzyła szwalnię. Na początku lat 90. przeszła do IHK Holding SA, została dyrektorką sklepów Piccadilly przy ul. Piotrkowskiej. Później była dyrektorem Izby Przemysłowo-Handlowej. Tam zauważył ją Cezary Grabarczyk. Za jego namową wstąpiła do Platformy Obywatelskiej. Był rok 2006. Wtedy z przedsiębiorcy stała się polityczką. Grabarczyk przekonał Zdanowską na kandydowanie do Sejmu, potem na zostanie przewodniczącą Platformy w Łodzi i w końcu - na start w wyborach prezydenckich. W 2010 roku została pierwszą kobietą prezydentem Łodzi. Potem jeszcze dwa razy wygrywała kolejne wybory z olbrzymią przewagą.

Dlaczego zamieniła Wiejską na Piotrkowską? - Praca w Sejmie jest koncepcyjna i dalekosiężna. A ja lubię szybko widzieć rezultaty swojej pracy. Stąd moja determinacja, by przyjść do łódzkiego magistratu. Tu skutki decyzji widać często od razu - powiedziała kilka lat temu „Wysokim Obcasom” w wywiadzie, który miałem przyjemność przeprowadzić razem z Wiolettą Gnacikowską.

Gdybym miał wymienić jedną rzecz, która się Zdanowskiej najbar-

dziej udała, to nie wskazałbym setek większych i mniejszych inwestycji lub Budżetu Obywatelskiego. Moim zdaniem Zdanowska zdobyła sympatię łodzian, bo zabrała się za posprzątanie miasta.

A łatwo nie było, bo po latach PRL-u i rządach mężczyzn miasto było zwyczajnie zapuszczone. - Przez wiele lat władzy nie mierziło, że sypią się kamienice. Uważano, że jeśli zamaluje się antysemickie napisy, to wszystko jest w porządku. Dla mnie sprzątanie to też remonty. Nie chodzi o papiererek leżący na ulicy, ale o przestrzeń wokół - niebudzącą lęku, bo te wyniszczone mury powodują niepokój. Chodzi m.in. o wymianę wykrzywionych i zardzewiałych koszy, ławek. Muszę robić porządek i jednocześnie realizować duże inwestycje. Sprzątam kamienicę po kamienicy - mówiła we wspomnianym wywiadzie.

Prezydent Zdanowskiej w kolejnych wyborach pomagał las dźwigów w mieście i coraz lepsza opinia w ogólnopolskich i światowych mediach. Chociaż Łódź przez ostatnie lata się rozwijała, to mieszkańcy widzieli przyszłość w czarnych barwach. Najbardziej brakowało optymizmu. Wpływ na to miały wieloletnie zapóźnienia, których korzenie tkwiły w PRL-u. Najpierw potencjał Łodzi zauważyli dziennikarze z innych miast Polski, potem ci, którzy przyjechali tu z zagranicy. Mieszkańcy uwierzyli na końcu, ale za to z żar-

Gdybym miał wymienić jedną rzecz, która się Zdanowskiej najbardziej udała, to nie wskazałbym setek większych i mniejszych inwestycji lub Budżetu Obywatelskiego. Moim zdaniem Zdanowska zdobyła sympatię łodzian, bo zabrała się za posprzątanie miasta.

liwością neofity. Gwałtownie zaprotestowali, gdy w brytyjskiej bulwarówce „The Sun” ukazał się krzywdzący artykuł o Łodzi. W portalach społecznościowych krytyczne opinie zastąpiły pochwały. Najpierw przestali się Łodzi wstydzić, potem zaczęli być z niej dumni. To był wielki sukces Zdanowskiej, która jak ognia unikała polityki. Wolała występować jako gospodarz miasta niż działaczka Platformy Obywatelskiej. To się opłacało, bo w Łodzi ma lepsze wyniki niż jej partia. Na posiedzeniach rady miejskiej nie bywa. Za co jest bardzo krytykowana przez opozycję. Jednak to nie zaszkodziło Zdanowskiej, bo uczciwie trzeba przyznać, że nie miała z kim wyborów przegrać.

- Jak reagują łodzianie, kiedy spotykają panią na ulicy, czy w sklepie? - spytałem niedawno prezydent Łodzi.

- W 99,9 proc. sympatycznie. Przed świętami podchodzili i składali mi życzenia - odpowiedziała.

W ostatnich wyborach samorządowych w 2018 roku 70,22 proc. łodzian zagłosowało na Hannę Zdanowską. Dostała aż 215,3 tys. ze wszystkich 306,6 tys. oddanych głosów. Żaden z prezydentów Łodzi nie otrzymał jeszcze nigdy tak dużego poparcia

**Wypowiedź Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej pochodzi z filmu dokumentalnego Wiesława Machajki „Spotkanie z Michaliną Tatarkówną-Majkowską” zrealizowanego w TVP Łódź w roku.*



PROF. HALINA EVERT-KAPPESOWA
FOT. ZBIORY PRYWATNE DOROTY CERAN



2021